POLSKA WALCZĄCA

ŻOŁNIERZ POLSKI NA OBCZYŹNIE

FIGHTING POLAND — WEEKLY FOR THE POLISH FORCES — PRICE TWOPENCE

Wychodzi co tydzień | **Dnia 15-go lipca 1944r.** | **Rok VI. Nr. 28**

SYMBOL



Sztandar przesłany z okupowanej Warszawy dla Oddziałów Spadochronowych

Dwa są oblicza rzeczywistości żołnierskiej i żołnierskiego życia. Jedno — to zwykłe, codzienne, na które patrzymy często przez okulary codziennych kłopotów, drobnych przykrości i zmartwień, czasem może nudy, często — zwykłego, fizycznego zmęczenia.

Lecz jest coś, co nagle życiu temu, życiu ludzi w jednakowe mundury przybranych, nadaje oblicze inne, czyni z nich symbol wartości najwyższych i nieprzemijających. Czasem zdarzyć się może, że po prostu czas i przestrzeń nadaje całkiem inne wartości temu, co oglądane zbliska, wydawać się mogło czymś zupełnie zwykłym i powszednim. Są takie chwile w życiu żołnierskim, kiedy to wszystko, co było w nim przyziemne i przemijające, usuwa się z przed oczu naszych, a pozostaje to tylko, co jest samą treścią najistotniejszą i najwyższą. I dobrze jest czasem zastanowić się nad tym, co pozostanie naprawdę z naszych trudów i wysiłków: o czym pamiętać będą na zawsze nasi następcy, a co przeminie i w zapomnienie pójdzie.

Zapomniane już dawno i wybaczone zostało żołnierzowi wrześniowemu z Grochowa, Woli i Pragi, że czasem, gdy już parę dni żadna kuchnia z ciepłą strawą dotrzeć do niego nie zdołała, on, głodny i niewyspany, bywało do cudzej spiżarni zajrzeć musiał, czy cudzym kocem się okrył. Ale pamiętać się będzie na zawsze to, że tego domu, bombami na pół rozwalonego, gdzie było jego stanowisko, Niemcowi bez walki oddać nie chciał. Że się przed wrogiem nie chował, ale nocą z bagnetem chodził go szukać w ciemnościach Wawerskiego lasu. Bo wtedy właśnie, może nawet nie zdając sobie z tego sprawy, ten głodny i niewyspany żołnierz, stawał się symbolem i wcieleniem woli Rzeczypospolitej, nieugiętej decyzji Narodu całego, który Swojej wolności wrogowi nie chciał za darmo oddawać.

I zapomniane zostanie to wszystko, co było nieistotne i nieważne wśród trudów żołnierskich tych, co obarczeni staromodnym sprzętem pod chłodny, północny Narwik jechali, a po drodze klęli na czym świat stoi uparte francuskie muły, które ten sprzęt miały nosić po górach norweskich. I rozejdą się bez echa w przestrzeni narzekania na spiekotę i brak wody tych, którzy przez długie miesiące trwali i wytrwali w obronie Tobruku. I przejdą z wiatrem i w szkockiej mgle rozpłyną się biadania nasze na nieciekawą służbę i beznadziejną jednostajność koszarowego czy obozowego życia.

Lecz pozostanie na zawsze i zapamiętane zostanie, że gdy trzeba było, to nie było takiego miejsca na świecie, gdzie by żołnierz polski swoją służbą i swoim wysiłkiem nie świadczył o niezniszczalnym istnieniu Rzeczypospolitej i niezachwianej wierze Narodu w ostateczne zwycięstwo.

Może warto, teraz szczególnie, gdy na nowo otwiera się przed nami droga prawdziwego żołnierskiego wysiłku, oderwać się na chwilę od codzienności i powszedniości i spróbować spojrzeć trochę bardziej z daleka i trochę głębiej na tych parę lat ostatnich i na to, co było ich treścią istotną.

Oderwani od własnego społeczeństwa, odcięci od jego odczuwania przejawów naszego życia tutejszego, nie potrafimy już czasem zdać sobie sprawy, co z naszego tutejszego wysiłku zostanie, jak ocenione będzie, czego wreszcie się od nas spodziewają nasi najbliżsi w Kraju. Co nam wybaczą, a czego nie zapomną.

* * *

Niewielka, kwadratowa płachta wojskowego sztandaru, z czerwonym kawalerskim krzyżem pośrodku, skupia w sobie te najwyższe, najgłębsze wartości żołnierskiego życia i powołania.

Polskim Oddziałom Spadochronowym, utworzonym i wyszkolonym w Wielkiej Brytanii, miasto stołeczne Warszawa ofiarowało i przysłało sztandar. Wydarzenie, które w czasach i warunkach normalnych, na własnej ziemi, byłoby czymś prawie banalnym, jedną z wielu wojskowych uroczystości, tutaj w naszych warunkach i w chwili obecnej urasta do znaczenia symbolu. Jak w zwierciądle cudownym ukazuje nam oblicze życia naszego, to prawdziwe, inne niż się nam samym wydawać dotychczas mogło. Wydarzenie, które jednocześnie i przeszłość tutejszą nam innym światłem rozjaśnia i łączy życie nasze i myśli z życiem i myślami najbliższych naszych w Polsce.

Spróbujmy na dziejach tego sztandaru zastanowić się nad tym, dlaczego i za co sztandar ten został ofiarowany, co widziano w nas i czego spodziewano się od nas — Tam. W imię czego i do czego wezwać nas chciano.

* * *

Gdy niemal co do dnia dokładnie cztery lata temu na nadbrzeże angielskiego portu wysiadała z pokładu starego, brudnego węglowca niezbyt liczna grupa oficerów, podoficerów i szeregowych, było zimno, zacinał uporczywy deszcz, wszystko wydawało się obce i niezachęcające. Ta grupa, kadra jednej z dywizji, której już nie było dane sformować się na francuskiej ziemi, przybywała do Wielkiej Brytanii właściwie jako grupa rozbitków, dla których z klęską Francji kończyło się pozornie wszystko.

Po goryczy obozów wojskowych Rumunii i Węgier, po ciężkich chwilach przeżytych kapitulacyj i niewoli, po cięższych jeszcze tygodniach i miesiącach życia pod okupacją, gdzie trzeba było patrzeć bezsilnie jak jeden czy drugi najeźdźca w gruzy rozwala to wszystko, co było całym naszym życiem i całą przyszłością, przybyła jeszcze ta jedna gorycz — niezawinionej przez nas, a tak zupełnej klęski. Rozbity, zdruzgotany doszczętnie leżał gmach nadziei, że szeregi nowego, odrodzonego we Francji polskiego wojska wyrąbywać będą naszą drogę powrotną. W obozach Szkocji zacząć się mogło beznadziejne życie kadrowego oddziału. Mógł się zacząć szereg dni jednakowych, plotką i drobną intrygą urozmaiconych. Bierne trwanie — do jutra, do następnego bezbarwnego dnia. Życie, jednym słowem, może nawet wygodne i spokojne, ale nie takie, jakiego pragnęli ci, co chcieli być polskimi żołnierzami.

Powoli, koszmarnie przewalał się rok za rokiem: 1940, 1941, 1942. Armie niemieckie panowały dosłownie nad całą Europą, stały nad Wołgą, dochodziły do Nilu. Dzień w dzień głośniki radiowe na rogach ulic Warszawy i innych miast polskich krztusiły się od głoszenia jednego zwycięstwa niemieckiego za drugim. Przez ulice, drogami sunęły bez końca długie kolumny rosyjskich jeńców. Na polach pracowali jeńcy francuscy i brytyjscy, norwescy i greccy, jugosłowiańscy i belgijscy. Wydawać się mogło, że wszelka nadzieja jest szaleństwem, że marzyć nawet nie warto, żeby tę potęgę przemocy złamać się kiedyś udało.

I oto jesienią 1942 roku Warszawa postanowiła ofiarować Polskim Oddziałom Spadochronowym sztandar — "a b y p o d t y m z n a k i e m z w y c i ę ż a l i".

* * *

A w Szkocji czas przechodził szybko na pracy, o jakiej zapewne do niedawna żaden z jej uczestników nigdy nie marzył nawet, ani jej się spodziewał. Trzeba było czyjejś naprawdę nieugiętej, upartej woli i wiary, trzeba było nieladajakiej umiejętności przekazania tej woli i wiary wszystkim współpracownikom i podkomendnym, żeby wśród istniejących warunków robotę taką poprowadzić. Z kadrowego strzeleckiego oddziału trzeba było stworzyć pierwszą regularną jednostkę spadochronową. Jednostkę broni, która wymaga najtwardszego, najbardziej doborowego materiału ludzkiego, kosztownego sprzętu, trudnego szkolenia, ciągłego dopływu uzupełnień. A wydawać się mogło, że tego wszystkiego właśnie brak nam najbardziej.

Więc kleciło się sprzęt samemu, własnymi rękoma, kupowało się i budowało ze składek oficerskich. Ofiarność i improwizacja zastąpić musiały bogactwo środków materialnych. O samoloty do szkolenia trzeba było kołatać i dopominać się nieraz bezskutecznie, gdyż w tych czasach Brytyjczycy mieli ich niesłychanie mało. Na lotniskach brytyjskich patrzano początkowo z niedowierzaniem i nieufnością na tych polskich kandydatów na spadochroniarzy. Tam z brytyjskich pułków Gwardii przychodził żołnierz wybierany, chłopy jak dęby. Od nas — przyjeżdżali często panowie dobrze po trzydziestce, nieraz z porządnie już osiwiałymi skroniami.

Po pewnym czasie okazało się jednak, że ci "starsi panowie" i ci chłopcy, z których niejeden w swoim krótkim żywocie samolotu nigdy z bliska nie oglądał, mogą szkolić nie tylko siebie, ale i niejednego ze Sprzymierzeńców. Niektóre metody polskie, cały szereg udoskonaleń i pomysłów, przyjęte zostały jako wzór do szkolenia innych.

Uzupełnienia, które do niedawna wydawać się mogły nierealną mrzonką, stawać się zaczęły rzeczywistością. Przychodzić zaczął ochotnik z innych jednostek polskich, potem żołnierze z Rosji, wymizerowani i wycieńczeni pobytem na zesłaniu i w obozach. Przybywać zaczęli weterani afrykańskiej kampanii ze Środkowego Wschodu. Nie ustawał dopływ zbiegów z niewoli niemieckiej, z Francji, z obozów na Saharze, z Mirandy, z nieprawdopodobnych czasami miejsc i krajów.

Z wiary uporczywej i nieustępliwej stworzone, powstawać zaczęły i rosnąć Oddziały Spadochronowe. Wiara w możność przyszłej walki, nie tylko jako równi, ale jako lepsi, była treścią najgłębszą naszego życia w Szkocji w tych latach, kiedy może niejednemu z nas wydawało się, że "właściwie nic się nie dzieje".

* * *

W Warszawie, jesiennymi wieczorami 1942 roku, potajemnie, zmieniając ciągle konspiracyjne adresy, na każdym kroku czując podejrzliwe, szpiegujące oko okupanta, hafciarki szyły sztandar dla spadochroniarzy. Gdy nie można było dostać czerwonej jedwabnej mory — pocięto purpurowy płaszcz kardynalski, przechowywany jako bezcenna pamiątka w jednej z rodzin polskich. Na nici złote i srebrne, skupywane w najróżniejszych miejscach, złożyły się groszowe składki. Złotej frendzli już się dostać nie udało.

Poczet sztandarowy, z żołnierzy spadochronowych złożony, odebrał sztandar z rąk Matek Chrzestnych w podziemiach jednego z kościołów. Nie żyje już ani ksiądz, który chorągiew tę poświęcił, ani żaden z tych chłopców, którzy pierwsi sztandar do rąk swych wzięli. Inne ręce, już znacznie później, do Wielkiej Brytanii go przewiozły.

W liście swym, który został dołączony do sztandaru, ofiarodawczynie piszą z zawstydzającą skromnością, że drobne braki w hafcie uzupełnią, gdy ze sztandarem tym Oddziały Spadochronowe wrócą do Kraju. Nie, nie zrobimy tego. Nie będziemy w nim nic uzupełniać, ani poprawiać! Bo w chorągiew tę whaftowane są te uczucia najświętsze, które widać w tych latach musiały być wspólną wewnętrzną treścią i istotą i Ich i naszego życia. Uczucia, które tak dziwnie i nierozerwalnie splotły ze sobą i połączyły na zawsze — życie żołnierza na obczyźnie z życiem tych, którzy w Kraju na nas czekają.

Nadzieja i wiara, poświęcenie i zaufanie.

T. E. SIECZKOWSKI

"POWSTAŃ POLSKO!"

K r a j ! — Wrócić do niego najśpieszniej.

Dla jednych było, jest i będzie to — źródłem tęsknoty tylko, tej — która rozkłada człowieka, uniemożliwia pracę, skupienie — która odbiera energię i chęć do życia.

U drugich natomiast — to potężny motor czynu. Wziąć stąd — z tego kraju — jak najwięcej, nie stracić chwili, wyzyskać ją najlepiej.

Dla Niej — Ojczyzny!

Dla tej ambicji, by była — jak inne. To nasza ambicja spadochronowa. W awangardzie nas — są Ci pierwsi, którzy tam poszli lub idą, którzy do Kraju przywieźli wieść o nas. Powrót do Ojczyzny, by tam bić wroga — przybyć tam "najkrótszą drogą" spadochronową — to nie tylko hasło nasze. To źródło naszej energii, motor naszych czynów, podstawa naszego moralu żołnierskiego. Bić wroga na naszej własnej ziemi, razem z Wami — Żołnierze Podziemnego Wojska Rzeczypospolitej — jest równoznaczne z tym, że my tu jesteśmy dla Was.

Z myślą o Kraju i o walce w Nim — powstaliśmy własną wolą i wysiłkiem. Wszystkie piętrzące się trudności powstania — łamaliśmy dla tego wielkiego celu. Wszystko inne — jest dla nas uboczne. Kto by rozumiał nas inaczej — rozumuje źle, szkodliwie.

Jak Kraj rozumie nasze przeznaczenie — zadokumentował przysłaniem Sztandaru. Dla nas spadochroniarzy — to nie tylko drogowskaz na dziś, nie tylko na walkę orężną, ale na wysiłek powojenny.

Żołnierze spadochronowi, jak żadni inni — zrównani są między sobą bez względu na stopień i pełnioną funkcję, warunkami skoku i bezpośredniego zetknięcia się twarzą w twarz z nieprzyjacielem. Nigdzie indziej nie uzewnętrznia się bardziej, jak w oddziałach spadochronowych — ciężar obowiązków dowódczych. Nigdzie więcej — jak tu, nie wymaga się od żołnierza wyższych indywidualnych wartości, przy całkowitym i świadomym podporządkowaniu go dowódcy — przewodnikowi.

Wszak to ideał rozumnego społeczeństwa, zdyscyplinowanego, kroczącego pod kierownictwem najlepszych przewodników — do wspólnie rozumianych celów, to społeczeństwo, w którym interesy zbiorowości — kroczą przed celami jednostek, w którym każda jednostka jest świadomą swego wkładu w zbiorowość, w której zbiorowość ceni wkład jednostki i stoi na straży jej interesów. To społeczeństwo — w którym nie ma stron, a są tylko uczestnicy wspólnego wysiłku, wspólnych radości i smutków.

Twardo — wspólnym wysiłkiem, w specjalnie ciężkich warunkach — wyrąbywali żołnierze spadochronowi swoje powstanie i prawo istnienia. Tym chlubniej dla nas, że uznanie uzyskaliśmy tam — dokąd dążymy. Niech nam Bóg pozwoli zrealizować nasze zadania walki i te, które po niej narosną.

A Sztandar z Kraju i hasło, które przybyło z nim "Pod tym znakiem zwyciężysz" — niech będzie drogowskazem na walkę i pokój!

STANISŁAW SOSABOWSKI

Szkic sytuacyjny

BARANOWICZE I WILNO

Pochód sowiecki na środkowym odcinku frontu wschodniego podobnie jak i na północnym odcinku — trwa dalej. Baranowicze zostały zajęte. Patrole sowieckie przekroczyły Bug, przypuszczalnie w kierunku na Chełm. Niemieccy komentatorzy radiowi przyznali się jeszcze dnia 7-ego lipca, że po opuszczeniu Kowla nakazano odwrót na Bug.

Na ulicach Wilna toczą się walki — tak mówiły komunikaty sowieckie w dniu 9-ego lipca. Niemcy przyznali się do opuszczenia Lidy w tym dniu. Zaznaczyli również, że Rosjanie przeszli do uderzenia w kierunku na Lwów. Strona sowiecka nic nie mówi o takich działaniach.

Zajęcie Lidy i Wilna stanowi wydarzenie o wielkiej doniosłości strategicznej. Zagon sowiecki jest bardzo poważny i grozi całemu frontowi bałtyckiemu. Nie bardzo widać jak Niemcy mogą jeszcze utrzymać swój front bałtycki. Muszą go najszybciej likwidować, a skrócenie go na Rygę nie wydaje się już dzisiaj wystarczające. Narzuca się wniosek, że strategia niemiecka spóźniła się znowu i że nie wyciągnie wszystkiego z saku bałtyckiego. Ewakuacja morska nie da wyniku, nawet jeżeliby siły niemieckie na obszarze państw bałtyckich nie były nadmiernie duże. Należało by przypuszczać, że dla Niemców istnieje możność odwrotu na Prusy Wschodnie. Tam dopiero wojska te mogłyby przyjąć walkę na t.zw. *Vaterlandlinie*.

Marsz sowiecki dąży najwyraźniej do pochwycenia węzłów kolejowych /Kowel, Lida, Baranowicze/. Osaczenie Brześcia nad Bugiem może przyjść szybko. Kruszenie się frontu rozpoczęte na północnym odcinku frontu białoruskiego może rozciągnąć się na inne obszary.

Zdaje się nie ulegać już wątpliwości, że na północnym odcinku frontu białoruskiego nastąpiło zaskoczenie Niemców. Rosjanie przypuścili atak ostry i szybki, wykorzystując osłabienie tego frontu wskutek przerzucenia jednostek pancernych na zachód. Uderzenie czołgowe było spore, ale główny sukces odniosła bodaj zmotoryzowana piechota. W poprzednim jeszcze roku piechota sowiecka nie nadążała za czołgami. Obecnie, częściowo na skutek pomocy dziesiątków tysięcy wozów angielskich i amerykańskich, piechota momentalnie wdziera się w luki wybite przez oddziały pancerne. Koncentracja artylerii odgrywa swoją rolę.

Dane ogłoszone niedawno przez londyński "*Economist*" na temat pomocy dla Rosji świadczą o wielkości tej pomocy. Przydała się ona Rosji niezwykle. Sprzęt sojuszniczy jest doskonały. Wspiera on dzisiaj bezpośrednio działania rosyjskie. Podobnie jak lotnictwo amerykańskie i brytyjskie. Można by powiedzieć, że sowiecka maszyna wojenna ma dzisiaj pasy transmisyjne sojusznicze.

Wydawało się przez chwilę, że rozmach sowiecki osłabnie i że podobnie jak to było w innych fazach działań na froncie wschodnim, tempo spadnie i znowu będziemy mieli do czynienia z przerwą przed nową "fazą dynamiczną". Takie rozpalanie się i gaśnięcie na tym froncie jest zjawiskiem stałym i wielokrotnie mylili się ci, którzy zapowiadali jakieś "decydujące przełomy", "punkty zwrotne kampanii", "ostateczny cios" i t.d. Armia niemiecka nie jest pobita na głowę, nie będzie się cofać odrazu na Warszawę ale — sytuacja jej jest dzisiaj niezwykle ciężka. Tempo może osłabnąć, ale wiele wskazuje na to, że Rosjanie — jakkolwiek idący ostrożnie — nie "popuszczą" i zrobią wszystko, ażeby w ciągu miesięcy letnich uzyskać najdalsze cele.

Propaganda niemiecka uderza znowu w tony żałobne, ponure. Widać, że chce ona wydobyć ze społeczeństwa nowe wysiłki. Woła, że katastrofa zagląda w oczy. Uzyska napewne pewien procent wysiłku, ale nie znaczy to, ażeby szanse niemieckie mogły się przez to zbytnio poprawić. Na zachodzie wojska niemieckie z maniackim uporem trzymają się swoich stanowisk, aby powiedzieć przez ten opór, że "nie warto", że może jednak lepiej byłoby się dogadać . . . Wszystkie te próby są na nic. Na Wschodzie maszyna niemiecka nie może obsłużyć frontu i oto szwy pękają. Można będzie zszywać, łatać, starać się robić pewne kontr-akcje, ale to wszystko nie ratuje frontu. Co więcej, nie bardzo widać, jak Rzesza mogłaby dokonać jakiegoś przeciw-uderzenia. Jeżeli trafne są domysły i rachuby, to chyba *Wehrmacht* liczy tu tylko na wciągnięcie Rosjan, na jakieś odmiany bitwy nad jeziorami mazurskimi — jak to wielokrotnie na tych łamach przypuszczaliśmy. Dzisiaj jednak szanse tego rodzaju manewru są coraz mniejsze. Pęknięcie północy frontu białoruskiego nosi charakter, który każe postawić pod znakiem zapytania zdolność armii niemieckiej wytrzymywania olbrzymiego naporu, wytrzymywania go stale, ustawicznie. Szwy pękają ostrzej, szybciej, groźniej, aniżeli dawniej. I to właśnie sprawia, że nie sposób odpowiedzieć dzisiaj na pytanie, czy armia niemiecka jest zdolna dłuższy czas utrzymać front i czy, jeżeli zaczną puszczać jedne odcinki po drugim — nie znajdziemy się w obliczu faktu ogólnego załamania się frontu?

CAEN ZDOBYTE

Lotnictwo zrzuciło 2300 ton bomb na Caen — a raczej 8-kilometrowy łuk na północy od miasta — bijąc w stanowiska wroga i skupienia jego broni pancernej. Był to cios nielada. Potem przyszły uderzenia pancernych oddziałów Montgomery'ego. Wynik jest dobry, albowiem Caen zostało nareszcie zajęte dnia 9-ego lipca a Niemcy uciekają z okolicy.

Miejmy nadzieję, że uderzenie Montgomery'ego będzie odpowiednio silne i że fala zaniesie brytyjskie oddziały dalej. Amerykanie starają się uderzyć na St. Lô i dalej. Gdyby te uderzenia przybrały poważny charakter, to nareszcie pewien zastój, jaki powstał ostatnio w Normandii, byłby przełamany.

Na odcinku brytyjskim Niemcy skupili niewątpliwie wojska wyborowe. Nasycenie bronią pancerną tego odcinka przez wroga było olbrzymie. Jeżeli uda się złamać tę zaporę, jeżeli dokona się wyłomu w tym "zawiasie", to mamy poważne szanse posunięcia się w wielu kierunkach. Obejście stanowisk niemieckich osłaniających Havre byłoby wielkim sukcesem.

Narazie niewiele więcej można powiedzieć. Należy sobie życzyć, ażeby ofensywa Montgomery'ego poszła sprawnie. Uderzenia na wschodzie przybierają na sile, winny zatem nasilić się one i w Normandii.

"ROBOTY" PRACUJĄ

Od czasu mowy Churchilla społeczeństwo brytyjskie odnosi się do zagadnienia "robotów" o wiele bardziej rzeczowo. Ewakuacja Londynu postępuje, otwiera się głębokie schrony, które przedstawiają się wspaniale i mogą pomieścić około 40.000 osób; ogół wie, że zrobiono wszystko, ażeby zahamować ataki latających bomb. Istotnie, ogrom wysiłku brytyjskiego jest godzien podziwu. Kto wie, jaką olbrzymią szybkością rozporządzają owe bomby przezwane przez wieść gminną: *buzzer*, *doodle bug*, *robot* i jeszcze inaczej, kto wie, jak stosunkowo blisko brzegu Anglii znajdują się kryjówki tych bomb — ten doceni sprawność ostrzegawczej służby, systemu alarmów i t.d. Trzeba przyznać, że w czwartym tygodniu ataków bomb ludność otrzaskała się z nimi, że wie jak się chronić, że odróżnia głos *doodle bugs* od głosu uczciwych maszyn, że zna się na zasięgu podmuchu i t.d. Wszystko wskazuje na to, że Londyn raz jeszcze zwycięży dopust boży i że "robota" się opanuje.

WE WŁOSZECH IDZIE POWOLI

Livorno, Florencja, Ancona — oto najbliższe cele ataku we Włoszech. Opór pod tymi trzema punktami, czy raczej na ich przedpolu, bliższym czy dalszym, jest silny. Przypuszczalnie jednak Niemcy przeprowadzają akcje opóźniające. Właściwy opór stawić oni powinni dopiero na t.zw. Gothenlinie, która biegnie przez Pistoję, na północ od Florencji. Pas środkowy tej linii, jak pisze sprawozdawca w "*Times'ie*" z dnia 8-ego, jest doskonale wyposażony przez przyrodę. Niemcy stworzyli, jak sądzić należy, pewne umocnienia, toteż Alianci mogą stracić znowu sporo czasu na forsowaniu tej linii.

Wojska polskie są stale wspominane przez prasę. Na odcinku adriatyckim opór wroga jest duży, tym bardziej sukcesy polskie godne są uznania.

ATAKI SUPER-FORTEC

Na Pacyfiku akcje ożywiają się. Flota amerykańska rozporządza dzisiaj przewagą olbrzymią. "*Sunday Times*" w numerze z dnia 9.VIII. dochodzi do wniosku, że flota wojenna USA jest dzisiaj dwa razy silniejsza aniżeli Japonii. Jednostka zwana "*Task Force No.* 58" rozporządza ponad tysiącem maszyn lotniczych, podnoszących się z pokładów lotniskowców. To jedno daje pojęcie o sile tej "*Task Force*" jak i o roli, jaką lotnictwo odgrywa dzisiaj w działaniach morskich.

Z pewnych lotnisk podniosły się super-fortece dnia 15-ego czerwca i dnia 6-ego lipca. Dokonały one bombardowań rdzennej Japonii, między innymi zakładów Yawata, uważanych za "japońskiego Kruppa". Te bombardowania dowodzą, że Japonia coraz mniej będzie bezpieczna.

Do tego jednak, ażeby powstały istotne warunki pełnego zagrożenia Japonii, należy zamienić pobrzeże Chin /czy raczej pas nieopodal brzegu/ w łańcuch lotnisk. Zasięg super-fortec amerykańskich jest daleki. Ładunek bomb zabierany przez nie na pewno będzie rosnąć. Amerykanie na pewno zrobią wszystko, ażeby Chiny stały się bazą. Czasu nie pozostało wiele, albowiem siły chińskie są wyczerpane, dostawy niedostateczne. Jeżeli wojna w Europie dogasłaby w r. 1945-ym, to wówczas należy przewidywać pełne uderzenie na Dalekim Wschodzie — i to bez nadmiernej zwłoki. Nie będzie przesadą powiedzieć, że stanie się to prawie natychmiast po zakończeniu działań w Europie. Floty USA i W. Brytanii będą gotowe i silne, lotnictwo będzie zwolnione — a ciosy jakie spadną na Japonię w r. 1945-ym będą napewne nielekkie.

Londyn, dnia 9-ego lipca, 1944.

ZBIGNIEW GRABOWSKI

Z tygodnia na tydzień

3 lipca: Wojska sowieckie zajęły Mińsk oraz Głębokie i Dokszyce /w województwie wileńskim/.

—Sprzymierzeni zajęli Sienę. II. Korpus, po zdobyciu przejść przez silnie bronioną rzekę Chienti, posunął się szybko naprzód w kierunku Ancony.

—Polskie dywizjony myśliwskie osłaniały konwoje i tereny wyładowania wojsk, patrolowały nad polem walk oraz bombardowały linie kolejowe. W czasie patroli dla zwalczania latających bomb pilot polski zestrzelił jedną z nich. Wszyscy piloci polscy powrócili z tych działań.

—Ogłoszono, że w drugiej połowie czerwca br. w powiecie biłgorajskim stoczone zostały zacięte walki między oddziałami Armii Krajowej a dwoma dywizjami niemieckimi.

4 lipca: Wojska sowieckie zajęły Połock oraz w Polsce Narocz, Miory, Woropajewo, Kleck i Radoszkowice.

—Podano, że Sprzymierzeni zaczęli silne ataki na zachód od Caen i w rejonie La Haye-du-Puits.

—W nocy z 3/4 polski dywizjon obrony wybrzeża patrolował nad Zatoką Biskajską. Wszystkie załogi powróciły.

—Z okazji rocznicy śmierci generała Sikorskiego Naczelny Wódz wydał Rozkaz nr. 12, w którym czytamy: "Nie było danym Generałowi Sikorskiemu dożyć tej chwili, gdy Jego żołnierze rozpoczynają marsz powrotny. Lecz patrzył On na was z zaświatów, gdyście zdobywali Monte Cassino, gdy biało-czerwony sztandar rozwinął się dumnie na wzgórzu klasztornym. Patrzy On na was lotnicy i marynarze, gdy snujecie dalej nieprzerwane pasmo zwycięskich bojów. Patrzy On na was żołnierze Armii Krajowej, którzy wśród trudów niewymownych ukazujecie światu prawdziwe oblicze Polski Walczącej".

5 lipca: Wojska sowieckie zajęły Mołodeczno i Smorgonie. Niemcy ewakuowali Kowel.

—W nocy z 4/5 lotnictwo sowieckie bombardowało Wilno, Lidę i Baranowicze.

—Wojska sowieckie zajęły Salmi na froncie fińskim.

—W nocy z 4/5 polski dywizjon bombowy ciężki atakował cele wojskowe w Orléans. Wszystkie załogi powróciły.

—Minister A. Eden przemawiając na obchodzie ku czci gen. Sikorskiego powiedział: "Żołnierze, marynarze i lotnicy Polski — naszego pierwszego sprzymierzeńca — nigdy nie ustawali w walce, po naszej stronie, ze wspólnym wrogiem. Dla nas, w tym kraju, nazwisko gen. Sikorskiego na zawsze pozostanie symbolem niezłomnej lojalności Polski".

—Ojciec Św. Pius XII. nadesłał na ręce biskupa polowego Wojsk Polskich ks. Gawliny błogosławieństwo apostolskie dla Naczelnego Wodza gen. Sosnkowskiego i Wojska Polskiego.

6 lipca: Prasa podała, że II. Korpus odparł przeciwnatarcia niemieckie pod Osimo, Filottrano i Cingoli z ciężkimi stratami dla nieprzyjaciela. Przyczółek mostowy na rzece Musone Polacy trzymają silnie.

—Wojska sowieckie zajęły w Polsce Świr, Michaliszki, Gierwiaty, Wołożyn, Lachowicze i Snów.

—W nocy z 5/6 lotnictwo sowieckie bombardowało Białystok i Wilno.

—Premier Churchill oświadczył w Izbie Gmin, że dotychczas 2754 bomby latające zabiły 2752 osoby.

—24 pułk ułanów, jeden z najsławniejszych oddziałów naszej armii, obchodził swe doroczne święto pułkowe.

7 lipca: Rosjanie zbliżyli się na odległość 10 mil od Wilna.

—Gen. de Gaulle przybył do Washingtonu dla przeprowadzenia rozmów z prezydentem Rooseveltem.

9 lipca: Wojska rosyjskie dotarły do Wilna, w którym toczą się walki uliczne.

—Wojska brytyjskie w Normandii zdobyły Caen.

—Wojska polskie w ciężkich walkach zajęły miasteczko Osimo i jeszcze bardziej zbliżyły się do adriatyckiego portu Ancona.

Nowości lotnicze

O czym tu pisać — naturalnie o latających bombach. Wprawdzie pisaliśmy o nich w ostatnich "Nowosciach", nie mniej pozostały one nadal aktualne, choćby z tego względu, że Londyńczykom uprzykrzają życie. Są nieznośne. Przypominają trzmiela, który pęta się koło nosa i doprowadza atakowanego do burej pasji. Bomby doprowadzają wszystkich do burej pasji. Znów Niemcy pokazali, jak dalece nie znają duszy innych narodów. Trzymają się zasady: rób drugiemu co tobie nie miło. Bez wielkiej przesady możemy stwierdzić, że "Kiwik" V.1. /*Vergeltungs Waffe Einz*/, otworzył szeroko Lordowi Vansittartowi drogę do gabinetu. Nie przypuszczam, by to właśnie było celem Hitlera, przy zastosowaniu V.1.

Reakcje bywają rozmaite, są zależne nie tylko od charakterów, lecz i od czasu w jakim zostały użyte środki na wywołanie pewnego skutku. V.1. użyta w 1941 lub nawet 1942 byłaby groźną bronią. Użyta w 1944 — skutek swój skierowuje przeciw Niemcom i nie będzie im pomagać w wygrywaniu wojny.

—"Cóż będzie, jeżeli przegracie wojnę?" — zapytał pewien neutralny dyplomata dyplomatę niemieckiego w 1917 roku.

—"Jeżeli przegramy wojnę, będziemy organizować w Europie sympatię dla nas" — brzmiała odpowiedź.

Sprawdziło się to powiedzenie po 1918 roku — niewątpliwie Niemcy w razie przegranej w 194 . . . /?/ będą dążyły do tego samego.

Hitler oświadczył w swej ostatniej mowie, że nie jest ważne to, co się dzieje na frontach, gdyż o wygranej decydować będzie technika. Technika, nie człowiek, ma wygrywać kampanie. Poniekąd tak jest i nie można nie przyznać Hitlerowi pewnej racji.

Dlatego właśnie n.p. w tej chwili Alianci są górą na wszystkich frontach, bowiem standard techniki niemieckiej nie zmienił swego szczebla, obniżając się raczej niż podwyższając w broniach naprawdę skutecznych, broniach pola bitwy na lądzie, morzu i w powietrzu. Jeżeli V.2. czy V.X. /coś tam Niemcy napewno trzymają jeszcze w zanadrzu/ będzie z tej samej rodziny, co V.1., to nie wiele pomoże Niemcom w wygraniu wojny.

V.1. jest bronią nie przeciw walczącej, lecz przeciw niewalczącej części narodu. Nie zadaje śmiertelnych pchnięć w serce przeciwnika, nie ubezwładnia go, ani nie atakuje bezpośrednio jego wysiłku wojennego. Nie narusza spoistości armii ani przemysłu wojennego. Nie potrafiła nawet wpłynąć na utrudnienie zaopatrzenia wojsk w Normandii. Pozostaje bronią terroru nieszkodliwego, który w tej chwili w opinii brytyjskiej wzbudził złość i zaciętość i zmazał — przynajmniej chwilowo — pojęcie dobrego Niemca, które dotychczas jeszcze pokutowało w polityce brytyjskiej.

Najwięcej hałasu narobił V.1. w Ameryce. Ameryka przyjęła, że New York może być zaatakowany gigantami z rodziny V.1. Może to nastąpi, *Why not*? — lecz już dzisiaj można postawić tezę, że ta broń nie będzie mogła być użyta masowo, ani w takiej skali, by była naprawdę niebezpieczna. Jeżeli będzie wyrzucana z wyrzutni europejskich — tym bardziej, jeżeli z wyrzutni morskich — w ogóle nie będzie straszna . . .

Nie należy jednak na "latające bomby" patrzeć z punktu wojny współczesnej, raczej z punktu widzenia przyszłości, której, jak by należało przypuszczać /oby Bóg dał!/ nie będziemy już świadkami. To właśnie miał na myśli marszałek Harris oświadczając, że lotnictwo bombowe, użyte w obecnej formie, skończy się z tą wojną. Czy bombowiec będzie zastąpiony przez robota? Nie wiemy i nie potrafimy odpowiedzieć. Jedno tylko jest pewne: bombowiec będzie bezśmigłowy. Śmigło i obecny motor mogą pracować tylko do pewnej wysokości, nazwijmy ją substratosferą. Ponad 50 tysiącami stóp śmigło staje się nieużyteczne, zaś motor w obecnej jego formie — przeszkodą. Świadomie używamy słowa motor. Bowiem używając we właściwym znaczeniu słowa "silnik", silnikiem samolotu — było śmigło. Tam w górze potrzeba nam innego silnika, silnika, któryby bezpośrednio przetwarzał swą energię na ruch. Takim silnikiem jest silnik odrzutowy, "*jet propulsion*", lub rakietowy "*rocket propulsion*".

Nie przypuszczam, by w myśl ostatnio ukutego paradoksu, w przyszłości "roboty" prowadziły wojnę, gdy człowiek będzie służył tylko do zabijania. W każdej wojnie, czy to prowadzonej przez Hannibala, czy przez Cezara, czy przez Napoleona, czy przez Hitlera — ludzka wola będzie decydować o zwycięstwie. Ludzki rozum i ludzka energia będą prowadziły walkę i człowiek będzie zajmował zdobytą ziemię, wywalczywszy ją wolą, energią, rozumem, odwagą i poświęceniem.

Wola ludzka będzie zwyciężała technikę. Nie należy jednak tego ostatniego tłumaczyć w ten sposób, że jeżeliby ułan polski lepiej ujął swą lancę, zwyciężyłby czołg, na który rzucał się równie bohatersko, jak i niepotrzebnie. Znacznie lepiej zrobiłby, gdyby zlazł z konia i wziął w rękę granat ręczny, który był wcale skuteczny przeciw czołgom z 1939 roku. Wola ludzka ma doprowadzić tylko do tego, by żaden ze środków technicznych nie pokonał chęci ludzkiego oporu.

Zastanówmy się, jakie są skutki bombardowania Niemiec?

Zacznijmy może od tego, czy można znieść jakieś miasto z powierzchni ziemi? Można, lecz tylko do pewnego stopnia. Granicą jest 70 procent. Powyżej tego dalsze ataki na jakieś miasto są raczej marnowaniem czasu i bomb.

Straty Niemców między marcem a grudniem 1943 roku da się się obliczyć w cyfrach "ludzio-godzin". W każdym razie milion ludzi musi pracować przez okrągły rok, by naprawić szkody wyrządzone przez bombardowanie Niemiec w ciągu tych 9 miesięcy. Ponieważ zaś milion ludzi nie może pracować bez przerwy, w ciągu 24 godzin przez 365 dni w roku, więc trzeba w rzeczywistości zatrudnić trzy miliony ludzi dla naprawy szkód. A każdy nalot aliancki przysparza z reguły szkód dla dalszych 90.000 "ludzio-godzin".

Z tych prostych cyfr łatwo wyobrazić sobie możemy, jakie trudności mają Niemcy i dlaczego urządzają po całej Europie polowania na siły robocze. Dlatego też postawiły Aliantom propozycję, by przestali bombardować Niemcy, wzamian Niemcy przestaną bombardować Londyn. Tylko, że przeciętny nalot niemiecki, nawet owymi "Kiwikami", które tak wiele szyb tłuką, nie przysparza nawet jednego procentu tych szkód Brytyjczykom, co jeden nalot aliancki Niemcom.

Jakimi bombami w tej chwili walczy lotnictwo bombowe? Oto pytanie, które otrzymaliśmy od jednego z czytelników. Na to pytanie trudno szczegółowo odpowiedzieć, ze względu na tajemnicę wojskową. Ogólnie dzielą się bomby na kruszące, burzące, pancerne, zapalające, oświetlające, wreszcie miny powietrzne, które należą do rodziny bomb burzących.

Bomby kruszące rażą odłamkami, burzące — siłą swego podmuchu. Pancerne i półpancerne używane są przeciw obiektom chronionym betonem czy stalą, przebijają osłony i dopiero po przebiciu eksplodują. Muszą być wyrzucane z bardzo wysoka. Bomby zapalające i oświetlające nie wymagają komentarzy.

Rzecz jasna, że każdy z tych rodzajów bomb ma swe liczne i nadzwyczaj interesujące odmiany, zależnie od zapalnika, materiału użytego do konstrukcji skorupy, materiału wybuchowego wypełniającego bombę.

Bomby zapalające — to już cała filozofia i to wcale skomplikowana. Jak dotychczas, Niemcy używają jedynie wielce prymitywnych rodzajów tych bomb. Nie życzylibyśmy żadnemu z naszych czytelników, by na nim wypróbowano działanie brytyjskich bomb zapalających.

Bombą przyszłości będzie natomiast, stosowana już dzisiaj na coraz szerszą skalę, zarówno przeciw celom w powietrzu jak i na ziemi — bomba rakietowa, wprowadzona w tej wojnie po raz pierwszy przez Niemców, udoskonalona przez Brytyjczyków.

Teraz z innej beczki. Wypadki wojenne przesłoniły ważną rocznicę w historii lotnictwa światowego. Tak się stało, że pewne fakty historyczne w lotnictwie ulegają wypaczeniu. Na przykład jakże mało ludzi wie, kto pierwszy wzniósł się i przeleciał pewną przestrzeń, nie dotykając ziemi, na maszynie cięższej od powietrza. Nie Wright ani Santos Dumont, ani Lilienthal.

Był nim profesor Ader, Francuz, Alzatczyk, który jesienią 1873 roku wzniósł się na dwuśmigłowym samolocie, napędzanym pięknym motorkiem parowym /stosunek wagi do siły: 1 klg na 1 H.P./.

Pierwszy lot w zamkniętym kole zrobił nie Henry Farman, lecz Orville Wright.

Zaś północny Atlantyk z zachodu na wschód przeleciał nie Lindberg, lecz dwaj Brytyjczycy cpt. Allcock i Brown, na dwusilnikowym samolocie "Vickers-Vimy". Stało się zaś to na parę lat przed lotem Lindberga, bo w dnia 14 i 15 czerwca 1919.

Przelot trwał krócej niż sławnego Amerykanina, gdyż 15 i ½ godziny. Był to lot trudny i niebezpieczny. Maszyna niosła więcej benzyny niż sama ważyła. W parę chwil po starcie, pełnym zresztą emocji, radio przestało działać. Leciano bez instrumentów precyzyjnych, prawie cały czas we mgle. Obserwator miał tylko możność dwa razy ustalenia pozycji. Raz maszyna wpadła w korkociąg i przebyła w zwitkach 7000 stóp, nim została wyprowadzona nad samym morzem. Jednak przelecieli, i obaj w nagrodę zostali *Sir'ami*.

M. J. GORDON

Kanada walcząca



W kanadyjskiej fabryce samolotów

KRAJ

1 lipca 1867 roku obchodzono uroczyście założenie konfederacji zwanej Dominium Kanady. Od tej daty, dzień pierwszy lipca jest świętem narodowym Kanady, jak 3 maja jest świętem narodowym Polski, 4 lipca świętem narodowym Stanów Zjednoczonych a 14 lipca świętem narodowym Francji.

Od tej daty, tak młodej, że Europejczykom nie wydaje się historyczną, postęp Kanady biegł po szybko i stale wznoszącej się linii, aż do dnia dzisiejszego, gdy głos jej poczyna ważyć na szali międzynarodowej polityki, gospodarki i kultury. Jakże daleko odbiegła Kanada od tych czasów, gdy była odludną i dziką krainą koczowniczych Indian, gdy jej olbrzymie, zalesione przestrzenie były królestwem myśliwych, handlarzy futer i Hudson Bay Company; gdy — jeszcze wcześniej bo z samego początku jej historycznego bytu — Jaques Cartier odkrywał ją i opisywał dla króla Francji Franciszka Pierwszego.

Nie pokuszę się o naszkicowanie historii Kanady i nie spróbuję opisywać jej krajobrazu — tak dobrze mi znanego . . . z książek, aby nie powiedziano, że ślepy mówi o kolorach. Zresztą z mnogości książek, które przewertowałem, jedną z lepszych — choć ani systematyczna ani wyczerpująca — jest Arkadego Fiedlera "Kanada pachnąca żywicą", więc czytelnik polski łatwo uzupełni sobie tę lukę mego artykułu.

Nam, zainteresowanym w teraźniejszości Kanady, wystarczą dwie daty. Data 1 lipca 1867 roku — konfederacji kanadyjskiej, do której w ciągu następnych paru lat przystąpiły wszystkie prowincje od Pacyfiku aż po Atlantyk za wyjątkiem Nowej Fundlandii; oraz data Statutu Westminsterskiego t.j. 1931 rok, w którym to Kanada stała się niezależnym członkiem Brytyjskiej Wspólnoty Narodów. Należało by jeszcze dodać, że w skład Kanady wchodzą następujące prowincje: Prince Edward Island, Nova Scotia, New Brunswick, Quebec, Ontario, Manitoba, Saskatchewan, Alberta, British Columbia; że najliczniej zaludnione są prowincje Ontario i Quebec, w których razem mieszka 62% ludności całej Kanady; że w 1941 roku Kanada liczyła 11.506.655 mieszkańców /a w roku 1871 zaledwie 3 i pół miliona/; że jej ludność jest głównie pochodzenia anglosaskiego /Anglików, Szkotów i Irlandczyków jest około 5.600.000/ i francuskiego /około 3.500.000/, ale jest także sporo innych narodowości: Niemców, Holendrów, Polaków /167.485/, Ukraińców, Włochów, Skandynawów, Żydów i t.d.; że powierzchnia Kanady wynosi 3.694.863 mil kwadratowych; że stolicą federalną jest Ottawa; że rząd składa się z premiera i członków gabinetu mianowanych przez Generalnego Gubernatora, który jest osobistym przedstawicielem króla; że rząd ten jest odpowiedzialny wobec parlamentu; że parlament składa się z senatu, którego 96 członków mianuje Gubernator na wniosek rządu, oraz z Izby Gmin, której 245 członków wybieranych jest w powszechnym głosowaniu; że obecnym premierem jest W. L. Mackenzie King, przewódca partii liberalnej; że wreszcie sztandarem Kanady jest Union Jack, ale podobnie jak Australia, która wybrała sobie kangura, i Nowa Zelandia — ze swym ptakiem Kiwi — tak i Kanada ma swoje godło: jest nim liść klonu.

Kanada przystąpiła do wojny na mocy własnej, nieprzymuszonej decyzji w dniu 10 września 1939 roku i od tego czasu zdecydowanie, ofiarnie i po męsku walczy na lądzie, morzu i w powietrzu nie szczędząc krwi, pracy i pieniędzy.

WOJSKO

Wojsko kanadyjskie wsławiło się w obecnej wojnie na wszystkich niemal frontach. Z przedwojennej siły 4500 żołnierza wzrosło do oficjalnej cyfry /w kwietniu 1944 r./ 465.000. Do Europy — na wszystkie fronty — wysłano do 31 marca b.r. 310.000 żołnierzy. Mógłbym zasypać polskiego czytelnika także innymi, bardziej szczegółowymi cyframi, ale nie chcę podburzać naszych ochotniczych propagandystów. Gdybyśmy mieli o Wojsku Polskim podobne dane — fakty, cyfry i nazwiska — równie szybko, aktualnie i szczodrze, nie można by mówić o Polakach, że "się szwarcują od walki"; że "uciekli z Rosji", że . . . Bóg wie co.

Pierwszy kontyngent kanadyjski wylądował w Anglii już 17 grudnia 1939 roku, a więc w trzy miesiące po wybuchu wojny. Kanadyjczycy brali wybitny udział we wszystkich niemal — legendarnych już dzisiaj — rajdach na wybrzeża europejskie. Byli na Szpicbergach i w Dieppe, gdzie zginęło ponad 3300 Kanadyjczyków. W lipcu 1943 roku pierwsza dywizja kanadyjska i pierwsza brygada pancerna wylądowały na Sycylii, we wrześniu tegoż roku we Włoszech, a teraz — Bóg z nimi — biją się na polach Normandii.

Pierwszym dowódcą Kanadyjczyków był popularny generał A. G. L. McNaughton. Obecnie dowódcą europejskiego terenu działania */G.O.C. in C. 1st Canadian Army/* jest generał H. D. G. Crerar. Dowódca 3 dywizji kanadyjskiej maj. gen. R. F. L. Keller został osobiście przez króla dekorowany orderem C.B.E. na polu bitwy w Normandii. We Włoszech Kanadyjczycy wchodzą w skład 8-ej armii i walczą ramię w ramię z Polakami.

LOTNICTWO

Lotnictwo z siły 4000 ludzi w 1939 roku wzrosło do liczby 206.702 w dniu 6 marca 1944 r. /W tej liczbie 32.000 oficerów i 14.500 kobiet/. Nie będę nużył czytelnika wyliczaniem cyfr godzin lotu, ładunków bomb zrzuconych, samolotów strąconych, lokomotyw ostrzelanych, okrętów podwodnych zatopionych. Są one bardzo poważne. Dość powiedzieć, że Kanadyjczycy stanowią 25% wszystkich lotników służących pod dowództwem brytyjskim.

Najgłośniejszym osiągnięciem Kanady w dziedzinie lotnictwa jest t.zw. *"British Commonwealth Air Training Plan"*, który wyszkolił nie tylko większość lotników brytyjskich, ale także bardzo wielu lotników innych narodów sprzymierzonych m.i. Polaków. Na niebie ponad żyzną i piękną ziemią kanadyjską wyszkolono 86.000 pilotów, nawigatorów, *air bombers* i *wireless-gunners*, t.j. ponad połowę latającego personelu brytyjskich sił powietrznych. Prócz tego wyszkolono w Kanadzie mechaników, inspektorów i innych specjalistów obsługi lądowej lotnictwa. Wychowankowie tego *"Air Training Planu"* przelatali 1,754.129.000 mil czyli jak ktoś /za ścisłość nie ręczę/ obliczył 19 razy tyle, ile wynosi odległość z ziemi do słońca.

KANADA NA MORZACH

Kanada mimo swych olbrzymich przestrzeni jest krajem żeglarzy. To, że graniczy z dwoma oceanami i jest usiana jeziorami i rzekami nie jest jednak główną sprężyną jej morskich zainteresowań. I choć nie wierzę w teorie rasowe à la Hitler & Co., to jednak narzuca się nieprzeparcie myśl, że to dochodzi do głosu krew przodków żeglarzy — Anglosasów i Francuzów.

Przed wojną miała Kanada 15 okrętów wojennych i 1700 marynarzy. W styczniu 1944 roku jej flota liczyła 700 okrętów i ponad 80.000 marynarzy. Jest to dzisiaj trzecia co do siły flota sprzymierzonych, a dwa nowe krążowniki i dwa nowe lotniskowce, nie mówiąc o setce mniejszych okrętów, jeszcze w ciągu 1944 roku wzmogą jej siły.

Flota kanadyjska służy na wszystkich morzach świata. Na Morzu Karaibskim, u wysp Aleutskich, na Morzu Śródziemnym, ale głównie na Atlantyku, którego północne szlaki są najbardziej żywotną linią zaopatrzenia frontu europejskiego. Tutaj flota kanadyjska dostarczała nieraz 48% eskorty konwojów, a nigdy mniej niż 40%.

POMOCNICZA SŁUŻBA KOBIET

Podobno polscy lotnicy wywierają nieprzeparty urok na słabą płeć Anglii. Jeśli chodzi o Anglików /—i wielu cudzoziemców włącznie z autorem—/ to są oni pod urokiem mundurów kanadyjskich żołnierek. Nie chciałbym uchybić nikomu, ale trzeba przyznać, że Kanadyjki są najbardziej *"smart"* pośród powodzi damskich mundurów, zalewającej Londyn.

W marynarce, lotnictwie, armii i służbie zdrowia jest ich razem 41.500 /1 kwietnia 1944 r./, i podobno mimo urody są diablo dzielne!

KANADA NIE SZCZĘDZI PRACY

Dokonania wojenne Kanadyjczyków, które opisałem tutaj w dużych skrótach, wystarczyłyby niejednemu narodowi do tego, aby kąpał się w chwale dziesiątki lat. Kanadyjczycy są skromni. Aż za skromni w głoszeniu swych zasług. Studiując historię wysiłku wojennego Kanady często myślałem, że powiedzenie Dymszy: "Jak sam się nie pochwalisz, to siedzisz, jak opluty", warto by opowiedzieć Kanadyjczykom. Ale nie! Moralnie — to chyba ich postawa jest ładniejsza, a materialnie . . . kto wie, czy także się lepiej nie opłaca. Mimo powściągliwości środków, wyniki propagandowe Brytyjczyków /a więc także Kanady/ są o tyle doskonalsze od innych, że może właśnie tu leży ukryty sekret ich powodzenia.

Zdumieni jesteśmy, gdy obserwujemy kanadyjskie osiągnięcia wojskowe, ale nie wyczerpują one wkładu Kanady do wojny. Głównym jej wkładem jest bowiem produkcja wojenna i produkcja żywności. Kanada jest jednym z wielkich arsenałów i śpichlerzy sprzymierzonych. Nie będę wyliczał ton, funtów, korców czy sztuk kanadyjskiej produkcji rolniczej: mleka, sera, jaj, masła, mięsa, pszenicy i innych zbóż i t.d. Pragnę tylko przypomnieć, że od tej produkcji zależy wyżywienie wysp brytyjskich i oswobadzanej Europy.

Ale Kanada produkuje nie tylko żywność. Jej produkcja aluminium przewyższa zapotrzebowanie angielskie. Z innych metali koniecznych dla prowadzenia wojny wytwarza Kanada nikiel, miedź, ołów, cynk, żelazo i stal w ilościach bynajmniej nie do pogardzenia.

Produkcja przemysłowa rozrosła się również ponad miarę, jaką zwykliśmy przypisywać słabym liczebnie państwom. I znowu tylko parę przykładów, aby nie obciążać pamięci i cierpliwości czytelnika. Kanada wyprodukowała do 1 marca 1944 r. 11.390 samolotów, 34.000 rozmaitych czołgów, 593.000 rozmaitych pojazdów mechanicznych, 249 statków handlowych, 336 okrętów wojennych i t.d. i t.d.

"MUTUAL AID"

Kanada nie korzysta i nie udziela pomocy w ramach *Lend-Lease'u* to znaczy ustawy uchwalonej przez Kongres Stanów Zjedn. Poszła znacznie dalej w swej ofiarności i w swym rozumie politycznym. 20 maja 1943 roku uchwalona została ustawa zwana *"Mutual Aid Act"*, mocą której Kanada dostarcza sprzymierzonym za darmo wszelkiej broni, sprzętu wojskowego, żywności i t.p.

"Jest rzeczą konieczną, aby wytwory kanadyjskiego przemysłu wojennego były udostępnione nie tylko dla użytku wojsk kanadyjskich, ale także dla innych Narodów Zjednoczonych zgodnie z wymogami strategicznymi i w taki sposób, jaki najskuteczniej przyczyni się do zwycięstwa". "Jest koniecznie wskazane, aby warunki, na jakich kanadyjskie materiały wojenne zostaną dostarczone innym narodom nie były tego rodzaju, aby obciążały handel powojenny albo prowadziły do ograniczeń lub w inny sposób zagrażały sprawiedliwemu i trwałemu pokojowi" — tak brzmią dwa ustępy z tej ustawy.

Jednym z największych szkopułów międzynarodowej harmonii i głównym źródłem konfliktów po ubiegłej wojnie była sprawa długów wojennych. Tę sprawę jedyna Kanada rozwiązała we własnym zakresie mądrze i z gestem. Żadne z państw, które korzystały z *"Mutual Aid"* nie będzie musiało płacić za pomoc, ani zwrócić po wojnie otrzymanego materiału. Od tej reguły są tylko trzy wyjątki, najzupełniej zresztą zrozumiałe. 1/ Kanada zatrzymuje swe prawa do statków handlowych użyczonych sprzymierzeńcom. 2/ Towary, które w chwili zawieszenia broni nie doszły jeszcze do odbiorcy mogą być odwołane z drogi. 3/ W chwili zawieszenia broni Kanada może zażądać zwrócenia samolotów zdatnych do użytku.

W ciągu niespełna roku, bo do dnia 31 marca 1944 suma dostaw w ramach *"Mutual Aid"* wynosiła $723.754.000. Z dostaw kanadyjskich korzystały następujące państwa: Anglia, Sowiety, Francuski Komitet Wyzwolenia, Chiny, Australia, Indie Zachodnie i Indie.

KANADA POLITYCZNA

Z dominiów brytyjskich jedyna dotychczas Kanada wyrobiła sobie niezależne stanowisko pośród narodów świata. Gdy mówimy: Australia, albo Nowa Zelandia, albo Południowa Afryka, myślimy wyłącznie o brytyjskim *Commonwealth*. Gdy mówimy: Kanada, to chociaż widzimy szerokie tło brytyjskiej Wspólnoty Narodów, myślimy o państwie najzupełniej samodzielnym, którego wpływy i powaga wzrastają z dnia na dzień na międzynarodowej giełdzie politycznej.

Powodów ku temu jest wiele. Położenie geograficzne w najbliższym sąsiedztwie Stanów Zjednoczonych; rosnący potencjał przemysłowy i rolniczy; olbrzymi wkład ludzki i materialny do obecnej wojny; a nade wszystko rozsądna i zdecydowana polityka.

W chwili obecnej, gdy na światowym horyzoncie politycznym rysuje się coraz wyraźniej koncepcja czterech wielkich dominujących mocarstw: Wielkiej Brytanii, Stanów Zjednoczonych, Rosji Sowieckiej i Chin — odgrywa Kanada bardzo ciekawą i bardzo charakterystyczną rolę. Po raz pierwszy z początkiem bieżącego roku po mowie Lorda Halifaxa w Toronto z dnia 24.I.1944 r., a po raz drugi podczas niedawnej konferencji premierów dominialnych w Londynie, zajęła Kanada stanowisko sprzeciwiające się bardziej ściślej współpracy dominiów i Wielkiej Brytanii. Powodów nie trzeba szukać daleko. Lord Halifax poddawał, że "nie sama Wielka Brytania, ale *Commonwealth* i Imperium powinny być owym czwartym mocarstwem w grupie czterech mocarstw, na której opierać się ma pokój świata w przyszłości". Kanada, której bezpieczeństwo i gospodarka są ściśle związane ze Stanami Zjednoczonymi, nie może pozwolić sobie na to, aby w jakimkolwiek — nawet tylko teoretycznie możliwym — konflikcie mogła się znaleźć po innej stronie barykady, niż Stany Zjednoczone. Nie znaczy to, że Kanada wyżej sobie ceni sojusz ze Stanami, niż więzy brytyjskiej wspólnoty narodów, ale Kanada musi mieć wolną rękę, jeśli by po obecnej wojnie współpraca czterech mocarstw nie była tak harmonijna jakby sobie tego należało życzyć.

To stanowisko Kanady ma jeszcze jedno następstwo. Państwo, które nie jest mocarstwem, ale z którego głosem wszyscy muszą się liczyć, stwarza przykład dla podobnych dążeń innych państw, które po obecnej wojnie nie będą mocarstwami, n.p. Francji. Przykład, który być może będzie gwarancją, że prawa narodów mniejszych będą szanowane przez cztery wielkie mocarstwa.

W Kanadzie od 1921 roku jest przy władzy partia liberalna. Podział mandatów w parlamencie federalnym /istnieją bowiem również parlamenty poszczególnych prowincji podobnie, jak w Stanach/ był po ostatnich wyborach z 1940 roku następujący: partia liberalna — 182 mandaty; partia konserwatywna — 39; *Social Credit* — 10; C.C.F. */Co-operative Commonwealth Federation/* — 8.

Partie liberalna i konserwatywna odpowiadają mniej więcej angielskim partiom o tych samych nazwach i dotychczas dzieliły się wpływami i rządami. Obecnie jednak wypłynęła na widownię C.C.F. i to w sposób dość dramatyczny. Przy wyborach prowincjonalnych w Ontario w sierpniu 1943 roku C.C.F. uzyskała 34 mandaty i o mały włos byłaby najsilniejszą partią w parlamencie prowincjonalnym. Przy wyborach w British Columbia w październiku 1943 r. C.C.F. uzyskała większość głosów, choć nie uzyskała większości mandatów. Obecnie, przy wyborach w Saskatchewan C.C.F. uzyskała 43 mandaty z ogólnej liczby 52, i przewódca partii w tym okręgu T. C. Douglas tworzy rząd. Ten nagły wzrost wpływów ma tym większe znaczenie, że za rok odbędą się wybory federalne, które mogą bardzo łatwo dać zwycięstwo C.C.F. a wówczas rządy po premierze Mackenzie King obejmie *"leader"* C.C.F. — M. J. Coldwell.

C.C.F. jest odpowiednikiem brytyjskiej *Labour Party* /Partia Pracy/ a jeśli nie przyjęła tej nazwy to dlatego, że słowo socjalizm, którego *Labour Party* jest zwykle głosicielem, ma dziwnie nieprzyjemne skojarzenia dla kanadyjskich wyborców. Partia wyrosła po ubiegłej wojnie ze zjednoczenia partii chłopskiej i partii robotniczej. a pierwszym jej przewódcą był J. S. Woodsworth. Program C.C.F. jest wyraźnie socjalistyczny z tą głównie zmianą, że uznaje własność prywatną ziemi, choć domaga się upaństwowienia banków i przemysłu. Jego główną ostoją są spółdzielnie.

Z powyższego opisu — który z rozmysłem utrzymałem w formie oschłego raportu — wyrasta Kanada, jakiej nie znaliśmy. Kanada jakiej nie podejrzewaliśmy nawet. Wczoraj jeszcze kolonia, dzisiaj już mocarstwo. Młode, zdrowe i męskie. W Europie przed obecną wojną młodość, zdrowie i męskość państw i narodów mierzono niestety liczbą dywizji, brutalną bezwzględnością policji czy Gestapo i "realizmem" polityki. /"Realizmem" było wszystko, co szło po linii głaskania Niemiec i faszyzmów, a "nierealną polityką" były próby demokratyzacji życia i rządów./ Na przykładzie Kanady widzimy, że młodość, zdrowie i męskość mogą być pokojowe i demokratyczne, a nie muszą być przez to zniewieściałe lub "zwyrodniałe", i że szczęście narodu niekoniecznie wyrasta z tupetu i gwałtu.

H. S. DOMINIK

Polska — żywymi oczami *

Stosunki komunikacyjne

Człowiek żyjący pod okupacją stara się wytworzyć dokoła siebie cały system drobnych zabezpieczeń. Wielu ludzi zresztą zachowuje się fatalistycznie, uważając, że jak nieszczęście ma przyjść — to przyjdzie. Dużo w tym prawdy, zwłaszcza przy niemieckim systemie odpowiedzialności zbiorowej. Tysiące też zupełnie przypadkowych ludzi pada ofiarą ulicznych łapanek. Najlepsze pozory, dokumenty, nie mogą stać się przeszkodą dla Gestapo. Mimo to lepiej zachować ostrożność, zrobić co się da dla ochrony własnej i najbliższych. Czasem można się wyratować, albo zyskać na czasie, w każdym razie człowiek sam lepiej się czuje, wiedząc, że przybrał jak najlepszą barwę ochronną.

Pierwsza rzecz: meldunek. W miarę możności lepiej nie ujawniać wyższego wykształcenia, które odrazu czyni obywatela Gubernatorstwa osobą podejrzaną. Zajmowanie przed wojną jakiegokolwiek wysokiego politycznie lub społecznie stanowiska również powinno pozostać tajemnicą. W mieszkaniu trzeba mieć zameldowanych jak najwięcej osób, wprowadzić doń rodzinę, przyjaciół, żeby uniknąć, w miarę możności, rekwizycji i wysiedlenia. Dom bez stróża, daje większą gwarancję dyskrecji. Wszystkie dokumenty, materiały, pieniądze związane z pracą polityczną muszą być oczywiście trzymane poza mieszkaniem.

Dokumenty pracy wydane przez *Arbeitsamt* muszą świadczyć o całodziennej pracy w biurze, fabryce, czy instytucji jawnie działającej, uznanej przez okupanta za pożyteczną gospodarczo, czy też społecznie /jak n.p. szpitale, ubezpieczenia, apteki/.

Cały ten system drobnych starań i zabiegów o wytworzenie choć pozorów prawa do życia, może być oczywiście poderwany lada podejrzeniem, lada kaprysem lub zrządzeniem ślepego przypadku.

Przestaje też właściwie działać z chwilą ruszenia się z miejsca stałego pobytu. W drodze człowiek jest narażony na wszystko najgorsze. Wsiadając do pociągu nie wie, gdzie i kiedy wysiądzie, ile go czeka rewizji, z jaką spotka się brutalnością. Dziś zresztą Polakom już w ogóle nie wolno jeździć pociągami, moje spostrzeżenia dotyczą r. 1943, kiedy ostatni raz podróżowałam po Polsce.

Krótsze dystanse już i wtedy w miarę możności przebywano chłopskimi końmi. Każda fura była wielokrotnie zatrzymywana i przeszukiwana przez policję tępiącą wolny handel. W razie znalezienia na furze jakichkolwiek produktów żywnościowych, niefortunny pasażer wędrował do kozy razem z gospodarzem i nierzadko kończył swą podróż na robotach w Niemczech.

Rowery skonfiskowano już w r. 1942, zostawiając tylko nieliczne w wypadku, gdy właściciel był robotnikiem dojeżdżającym do miejsca pracy. Auta były od dawna zupełnie niedostępne, zresztą i sami Niemcy mieli poważne ograniczenia, jeśli idzie o środki napędne. Ciężarowe samochody pracują na gazogeneratorach, auta służbowe jeżdżą z butlami gazu na dachu, lub z piecem, przyczepionym z tyłu, dymiącym przez ohydny komin. Trochę jednak ciężarowych samochodów służy polskim instytucjom, jak spółdzielniom, Radzie Opiekuńczej, cukrowniom. Czasami więc zdarzy się, że można na mniejszych dystansach znaleźć okazję podróży takim samochodem.

Jak zdrowe trzeba mieć nerwy, udając się w taką drogę i na co naraża się śmiały "podróżnik", najlepiej zilustruje następująca przygoda. Kilka osób zabrało się ciężarówką, odwożącą cukier z Warszawy do Siedlec. Wszyscy mieli zamiar zaopatrzyć się na prowincji w trochę żywności. Razem z obsługą samochodu i robotnikami było ich 17, wśród nich jedna kobieta, młoda i ładna nauczycielka szkoły powszechnej.

Pod wieczór samochód wraca do miasta, śpiesząc się, by nie przekroczyć godziny policyjnej, która w tym czasie była wyznaczona na godz. 8-ą. Tymczasem pół godziny od Warszawy defekt motoru zatrzymał samochód. Nim naprawiono wóz, minęła 8-ma. Kilometr przed rogatkami, 20 minut po godzinie policyjnej, patrol pijanych w sztok Niemców zatrzymuje auto. Rewizja dokumentów wykazuje, że wszystko jest w porządku, szofer tłumaczy przyczynę spóźnienia. Pada rozkaz wysiadania. Wszyscy podróżni zostają ustawieni nad rowem przydrożnym, naprzeciw nich karabin maszynowy. Ludzie stojący twarzą do lufy karabinu maszynowego . . . Choć wyratowali przypadkowo życie, mają najstraszniejszą chwilę świadomości śmierci za sobą.

Młoda kobieta odważyła się przemówić, zakpić, stwierdzić, że wszystko to jest doskonałym żartem. Śmiała się tak beztrosko, promieniała taką najpogodniejszą dziewczęcą urodą, że pijani, nie całkiem przytomni Niemcy, nagle zmienili zamiar. "Idźcie do diabła! Jużeśmy dziś 48 trupów zostawili na drogach. Uciekać biegiem!" Biegnący ludzie nie byli jeszcze pewni, czy nie padną pod gradem kul. Tymczasem Niemcy wsiedli na motocykle i odjechali. Zimna krew dziewczyny uratowała życie towarzyszom. Dla uzupełnienia obrazka warto dodać, że pod workami cukru wieziono broń dla organizacji, o czym wiedział tylko jeden z podróżnych.

Oczywiście w warunkach okupacyjnych człowiek unika ruszenia się z miejsca. Poza niebezpieczeństwem, zniechęcają same warunki drogi. Pociągi kursują nieopalone, opóźnienia na trasie 300 klm. wynoszą nieraz 7 godzin. Zimne, brudne, przetłoczone przedziały w niczym już nie przypominają naszych przedwojennych wygodnych, punktualnych kolei. Wejście na dworzec najczęściej osobne dla Polaków i dla Niemców. W Krakowie n.p. dawne wejście na Dworzec Zachodni przeznaczono dla Polaków. Poczekalnie, restauracje dworcowe tylko dla Niemców. Na dworcu na pierwszy rzut oka uderza różnica między nieliczną gromadką dobrze ubranych i odżywionych Niemców, a szarą, zbiedzoną, długą kolejką Polaków, czekających na przepuszczenie na dworzec.

W niektórych okolicach, jak n.p. w dystrykcie lubelskim, nie wolno jeździć bez przepustki Gestapo. Jednakże i w innych dystryktach lepiej mieć jakiś urzędowy papierek, udając się w drogę. Jakieś polecenie firmy o handlowych celach podróży, może być bardzo przydatne w razie rewizji w pociągu.

Żeby jednak dostać się do pociągu, trzeba długich i uciążliwych zabiegów. Biura podróży są znowu tylko dla Niemców. Polak może kupić bilet tylko w dniu podróży przy kasie. Jednocześnie trzeba też uzyskać miejscówkę, t.zw. "platzkartę". Miejscówka wbrew swej nazwie nie zapewnia miejsca siedzącego, ani nawet stojącego. Ogranicza tylko w luźny sposób ogólną liczbę pasażerów.

Stanie w ogonku na stacji do popołudniowego pociągu rozpoczyna się natychmiast po ukończeniu godziny policyjnej. A więc w czasie, o którym mowa o 4-ej rano. Za kilkadziesiąt złotych /wtedy około 70 zł./ można kupić miejscówkę "bokiem" od wielkomiejskich andrusów, lub od niższych funkcjonariuszy niemieckich. Olbrzymia, zbombardowana, ciemna hala warszawskiego dworca jest widownią gorączkowych nerwowych transakcji biletowych. Ludzie, którzy nie mogą sobie pozwolić na odejście z próżnymi rękami od kasy, próbują za wszelką cenę zaopatrzyć się w bilet, narażając się na groźne nieraz następstwa.

W jakże innym świecie leżą tamte ponure, hałaśliwe, groźne dworce w zestawieniu z dworcami na cichej brytyjskiej wyspie! Krzyk i przekleństwa Niemców, pijanych żołnierzy niemieckich nerwowe zachowanie przygotowanych zawsze na najgorsze pasażerów, kompletne zaciemnienie, dziury w bruku po bombardowaniu, pełno włóczęgów leżących na podłodze pod ścianami, handlarze zawalający koszami przejścia — na dworcu najbrutalniej otacza człowieka dziwny, złowrogi świat wojny za frontami.

Wreszcie stłoczeni, zmarznięci, popychani na wszystkie strony ludzie jadą na korytarzach i platformach, duszą się w przedziałach. Na jednej z pierwszych stacji najczęściej przychodzi niespodzianka. "Wóz potrzebny dla Niemców, przesiadać się do innych wagonów!" Jeszcze przed chwilą zdawać by się mogło, że już ani szpilka nie wejdzie do przedziału, do którego wtłacza się gromada pasażerów z poprzednich wozów. Do opróżnionego wozu wsiada po dwu, trzech Niemców na przedział. Takie zresztą rozwiązanie należy do przyzwoitszych. Bywa, że opróżnia się wagon i pasażerów wyrzuca na stacji, na której muszą czekać na następny pociąg przez 12 godzin na torze.

Jedyny promyk wesołości i beztroski wnoszą andrusy wyśpiewujący piosenki. Całe tęskne ballady o "Jasiu co bronił Warszawy i na Placu Trzech Krzyży znalazł swój grób". O żołnierzu "co poszedł w cały świat" bić się o Ojczyznę. "Już słoneczko wyżej, Sikoreczka bliżej!" Albo historia o tym, "Jak Papież krzyżem ryms Goeringa w łeb", wreszcie po prostu "Boże coś Polskę" i "Jeszcze Polska". Ludzie chętnie dawali groszaki łobuzom, umiejącym wyskoczyć na czas i uniknąć wszelkiego niebezpieczeństwa.

Cała podróż nacechowana jest niepokojem. Ludzie szepcą między sobą o możliwościach rewizji, ci którzy mają najwięcej do stracenia milczą czujnie. Wśród pasażerów nie trudno o prowokatora, w piątym roku wojny wielu już Niemców mówi bezbłędnie po polsku. Wielu przygotowywanych starannie do wojny,umiało już zresztą od pierwszych dni.

Niektóre stacje mają zdecydowanie złą sławę, jeśli idzie o rewizje. Należą do nich zwłaszcza wielkie stacje węzłowe. Na linii Kraków — Warszawa szczególnie trudno przebrnąć przez Tunel lub Częstochowę. Niebezpieczne są również stacje podmiejskie. Przy dojeździe do wielkich miast Niemcy starają się wyłapać dowożoną nielegalnie żywność.

Z polskiego punktu widzenia wolny handel — "pasek", jest koniecznością. Bez niego ludność miast zginęłaby z głodu, wprowadza on zarazem dezorganizację w niemieckim systemie żywnościowym. Oczywiście w wojennych warunkach występują tu i ówdzie nadużycia, nadmierne podbijanie cen. Z tymi objawami walczy skutecznie Polska Podziemna. Były nawet zarządzenia Delegata, hamujące pewne objawy demoralizacji handlowej, udzielano nagan nieuczciwym kupcom. W sumie jednak ludność chroni t.zw. "szmuglerów", rozumiejąc konieczność nielegalnego handlu.

Bywa, że przed stacją, na której zwykła odbywać się rewizja, coś nagle "psuje się" w parowozie. Pociąg przystaje w polu, ulatniają się szmuglerzy z koszami i plecakami, i docierają później do miasta innymi, im tylko znanymi drogami.

Przed nadejściem rewizji przychodzi ostrzeżenie. Wtedy przez okna wagonu wylatują w pole połcie słoniny, worki mąki, skrzynki tytoniu, bale materiałów, nawet złoto i dolary. Spryciarze zresztą potrafią zawsze wystrychnąć Niemców na dudków. Część towarów wpadnie, zawsze coś jeszcze dojedzie. Kiedyś w kotle z wodą jednej z dojazdowych kolejek podwarszawskich, Niemcy znaleźli trzy świnie.

Wytwornemu młodzieńcowi, z którym sąsiadowałam w przedziale na linii Kraków-Warszawa, zabrano cztery duże paczki tytoniu. Nie wiem jakim to "finansowym zabiegom" zawdzięczał pozostanie na wolności mimo "wpadki". Strata materialna musiała być olbrzymia, cena jednego papierosa wynosiła 1 złoty 20 groszy do 1 złoty 70 groszy. Wyraziłam mu swoje ubolewanie. Młodzian odparł z zupełną nonszalancją: — "Pani! Takich samych osiem paczek jedzie dalej na osi. Niech się udławią tymi czterema. Ja ta swoje jeszcze odbiję".

Ludzie, którzy przewożą coś ważniejszego, niż żywność, muszą mieć dużo zimnej krwi. Nie zmrużyć oczu przy przewracaniu w walizkach, nie zblednąć, gdy Szwaby już, zdawać by się mogło, trafiły na ślad, nie dać się sprowokować krzykiem ni gestem.

Raz w grupie paru osób był oswobodzony jeniec angielski. Nie rozumiał ani po niemiecku, ani po polsku i słysząc piekielny wrzask niemiecki, przyłączył się do grupy zatrzymanych "szmuglerów", którzy wychodzili z wozu z podniesionymi rękami na osobistą rewizję. Jeden z towarzyszy szepnął mu w ogólnym zamieszaniu parę słów po angielsku, ratując go od niechybnej śmierci.

W pociągach też łatwo się natknąć na sprawdzanie dokumentów. Przy takiej okazji wpadają najczęściej ludzie nie mający nic na sumieniu. Człowiek zaangażowany politycznie ma zawsze wzorowe papiery. "Szmugler", wybierając się w drogę, również obstawia się najrozmaitszymi poleceniami. Jednakże w czasie wielkich łapanek gospodarczych, czy politycznych, zdarzały się wypadki, że wysadzano starców i dzieci, a pociąg zmieniał kierunek i jechał do Rzeszy.

Napis na każdej stacyjce: "*Räder müssen rollen für den Sieg*" — przypomina nam, że nic w naszym kraju do nas nie należy, i że nie dla nas kręcą się koła naszych pociągów. Wsiadając do pociągu, nie wiemy dokąd zajedziemy, ale coraz częściej i Niemcy już tego nie wiedzą. Wiele pociągów na terenie Gubernatorstwa wyleciało w powietrze, setki jeszcze czeka ten sam los. Sam "miłościwie nam panujący" Gubernator Frank stoczył się ze swoją salonką z toru, i jeśli uratował swe życie, to widać los mu cięższą śmierć gotuje. Setki niemieckich żołnierzy znalazło śmierć w polskich pociągach, na gruzach wysadzonych w powietrze mostów. Toczą się koła ku zwycięstwu, coraz szybszymi i pewniejszymi obrotami. Polskie pociągi wśród sabotażów i ataków armii podziemnej jadą ku Polskiemu Zwycięstwu.

MARIA BRZESKA

* Por. poprzednie artykuły cyklu: "Powszedni dzień terroru" druk. w nr. 6, "Życie ulicy" druk. w nr. 7, "Wobec wydarzeń wojennych" druk. w nr. 8, "Dziecko i matka" druk. w nr. 10, "Kobieta w walce" druk. w nr. 11, "W domu" druk. w nr. 13, "Z Niemcami pod jednym dachem" druk. w nr. 14-15, "Humor w dniach grozy" druk. w nr. 17, "Wsi spokojna, wsi wesoła . . ." druk. w nr. 22, "Pożywienie, odzież, opał" druk. w nr. 26 "Polski Walczącej" z b.r.

WIERSZE O KRAKOWIE

BŁONIA

Gdzie znajdziesz tak zielone łąki tuż przy mieście,
Poświęcone niedzielnej, sielankowej sjeście,
Gdzie tyle kramów, dzieci, krów, źrebców przy klaczy,
I tylu spośród naszych dzisiejszych tułaczy
Wówczas z rodziną, wówczas kochanków beztroskich,
Wspólnie się życiem swojem cieszyło krakowskim? . . .
Gdzie znajdziesz taki obszar, zdany w upominku
Ludności? Błonia . . . kwadrans piechotą od Rynku . . .

PLANTY

I gdzież jest drugie miasto tak liśćmi pokryte,
Jakby strzechą zielonej wokoło dachówki?
Kasztany — pień obok pnia —
Nokturn cienisty za dnia —
Duszno, grzązko . . .
Pod każdą z ławek srebrna, deszczowa kałuża;
Na ławce — profesor z książką,
Na drugiej — hrabina w pince-nez,
A na trzeciej żydowska dziewczynka, jak róża . . .
Tyle ich było pięknych. Ach, róże nieszczęsne!

OGRÓD BOTANICZNY NA UL. KOPERNIKA

Tam rozkwitła "Victoria Regia" — pośród liści
Wielkich jak balie, w niskiej żarliwej cieplarni.
Tam, strojni w peleryny nieznani artyści
Na tle kwiatów stawali, długowłosi, czarni,
Szkicując zarys rzadkich, pięknych drzew niewielu
I egzotycznych krzewów — jak na przykład bieluń,
Który się na olbrzymi, biały kwiat wysilił,
Pachnąc, truciciel, z siłą pół tysiąca lilij . . .

Jest tam Obserwatorium — zamknięta dziedzina —
/Z globusem Kopernika . . ./
Zatopione w tych różach, koprach, rozmarynach,
W konstelacjach rumianku, w słońcach słonecznika . . .

PRAWA OGRODU BOTANICZNEGO

Biegnę tam w myślach moich i staję nad grzędą,
Pełną róż: twarz przy twarzy i cierń przy atłasie . . .
I patrzą na mnie bratki o złotym grymasie —
Granatowe i rude i żółte i siwe . . .
O, mnie wydarto z ziemi, lecz one, szczęśliwe
Były u siebie i będą.
Tutaj, gwałt nad rośliną równałby się zbrodni,
Dotychczas się to nie zdarzyło . . .
Gdyż dla nich był ogrodnik —
Dla mnie go nie było . . .

O ŚNIEGU W LECIE

W dniach upału, w gorączkowym śnie,
Na morskim brzegu,
Jakże miło jest wspomnieć polski śnieg,
Przetrzeć czoło myślą o śniegu.

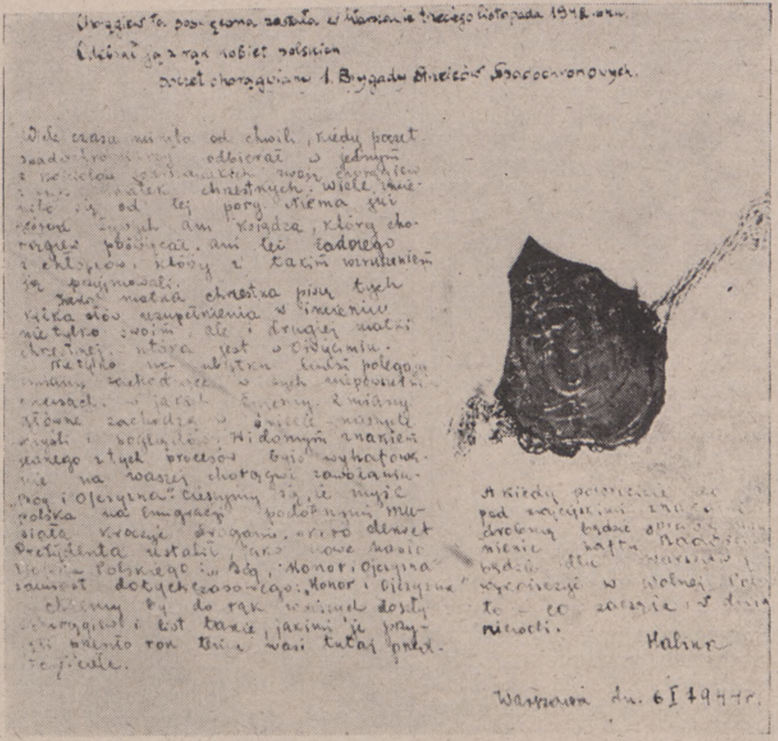
Kiedy na górskim stoku
Śniegi w łukach falowały życzliwie,
A narciarze jak lotne jaskółki fruwali
Po srebrnej niwie —

Gdy krokusy, jak widzów kolorowe tłumy
Stały w podziwie,
I sennie i najwolniej spadało z obłoków
Symetryczne, gwiezdne igliwie —

O, wówczas żyliśmy szafirowo i biało,
Każdy w swojej czarodziejskiej zagrodzie,
Z których wszystkie /jak się później okazało/
Zbudowane były na lodzie . . .

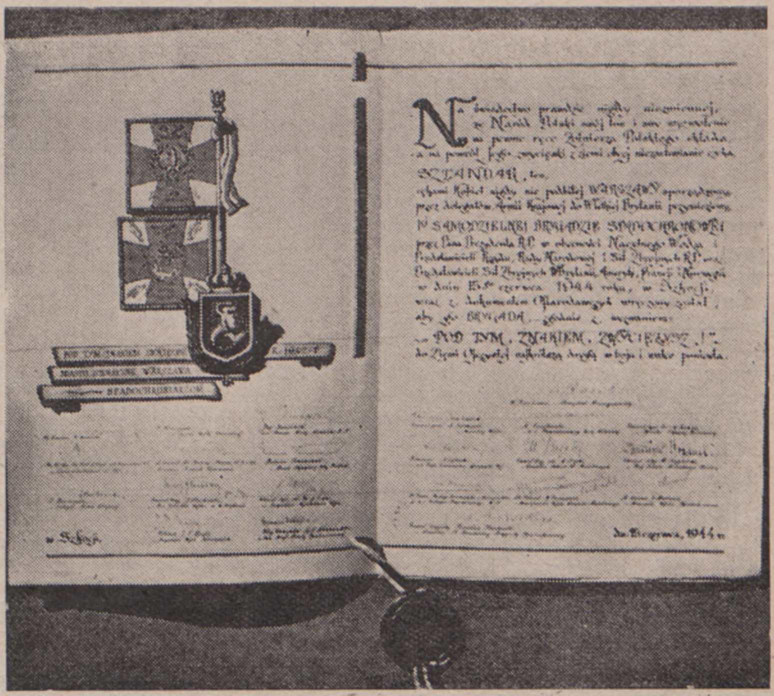
MARIA PAWLIKOWSKA

Sztandar przysłany z Kraju

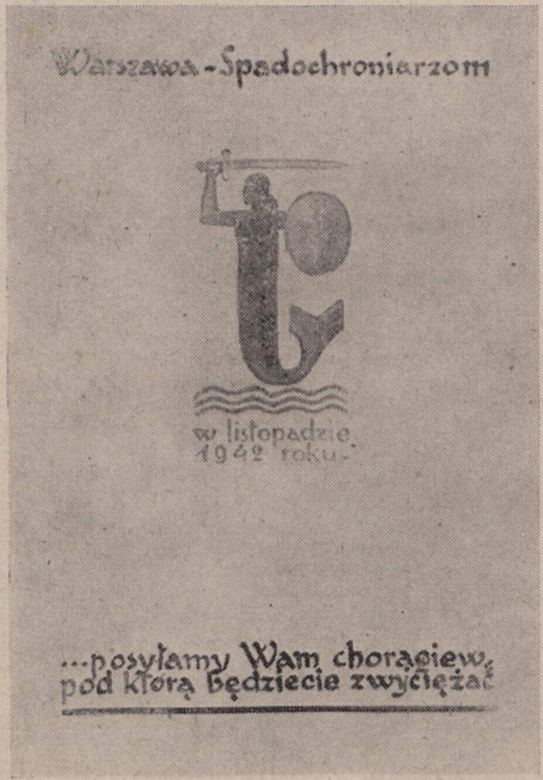


Fragment dokumentu nadawczego, nadesłanego z Kraju





Dokument przyjęcia Sztandaru przez Polskie Oddziały Spadochronowe



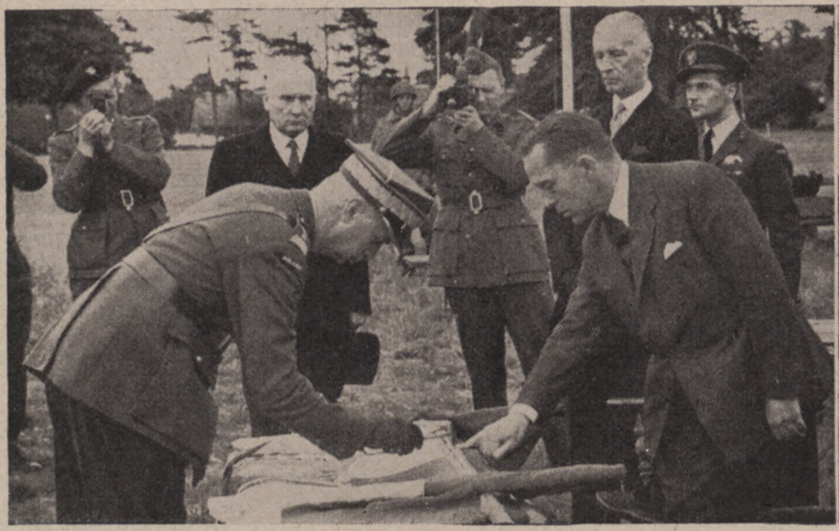
Okładka dokumentu nadawczego



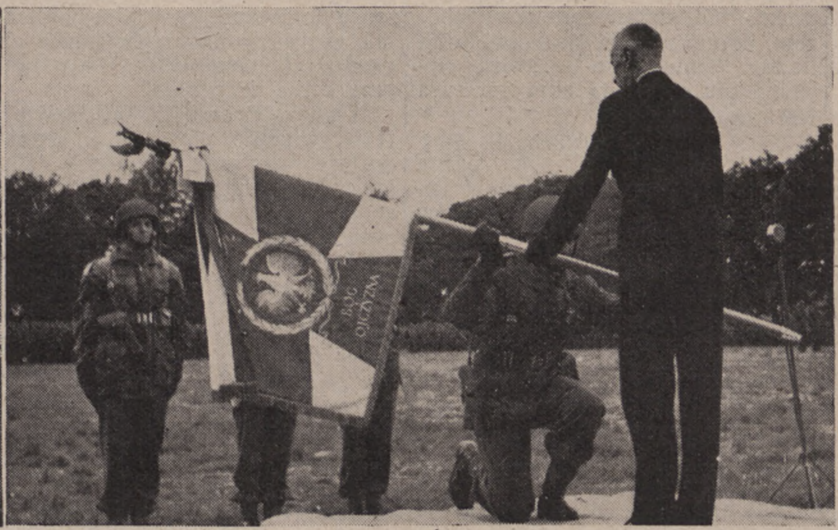
Sztandar wyhaftowany w Kraju i przesłany dla Polskich Oddziałów Spadochronowych w W. Brytanii



Okładka dokumentu przyjęcia



Naczelny Wódz wbija gwóźdź w drzewce sztandaru — naprzeciw niego wysłannik z Kraju



Prezydent Rzeczypospolitej wręcza sztandar przyjęty z rąk przedstawiciela Kraju — Dowódcy Oddziałów Spadochronowych



Poczet sztandarowy



Defilada spadochroniarzy

"Pieruńsko mnie Śwaby podpadli . . ."

(Korespondencja własna "Polski Walczącej")

Na pokładzie Krążownika R.P. "Dragon". Wybrzeże Normandii, dnia 13 czerwca 1944.

—Ale podpadli mnie dziś Śwaby, podpadli. Pieruńsko podpadli.

—A bez co ci to tak podpadli?

Słowa te usłyszałem stojąc na stanowisku Z.D.O. nocy dzisiejszej. Prośby moje, aby mnie wreszcie zabrano ze sterowni na jakieś inne miejsce, z którego mógłbym widzieć nieco więcej, odniosły skutek i ostatniej nocy w czasie alarmu bojowego tkwiłem przez cały czas na górnym spardeku pomiędzy działem NR. trzy i działem cztery. Widok niby lepszy, ale za to niemiłe uczucie, gdy "Dragon" wszystkimi lufami dziurawi bębenki w uszach i zmusza do trzymania otwartej gęby przez cały czas strzelania. Oślepia przy tym ogromnie.

Rozpoczęły się nocne harce samolotów niemieckich, a w związku z tym i reakcja obrony przeciwlotniczej okrętów i bateryj zainstalowanych na lądzie. Wyleci takie jedno pudło zwane "Junkersem" czy innym "Heinklem" i brzęczy całą noc nad głową. Ani to zapory przed nim zrobić, ani celować nie można. Pułap chmur niski, więc ginie ponad nim, a potem przy zamkniętych motorach podchodzi do bombardowania. Łapią go podobno jakimiś tam aparatami, ale ja osobiście mam do nich niewielkie zaufanie. Barki, kontrtorpedowce i inne jednostki, grzeją do niego ze swoich małokalibrowych dział, przecinają chmury tysiącami cienkich, złotawo-czerwonawych nitek, tworzą zapory podłużne i poprzeczne i nawet siatki, a pudło nic, tylko brzęczy i brzęczy. Ani zasnąć, ani odpocząć, bo kto wie, czy ten zdecydowany samobójca nie upodoba sobie akurat miejsca gdzie stoi "Dragon" i nie będzie na nim chciał wypróbować precyzyjności swoich przyrządów celowniczych. Przez całą noc mordował siebie i nas.

Gdzieś na prawo od nas "oerlikony" usłały drogę pocisków świetlnych, zda się związanych w jeden różaniec krwistych paciorków o równej odległości od siebie. Obserwuję ze stanowiska i widzę zmniejszającą się ich szybkość przy podchodzeniu do szczytowego punktu wierzchołka toru. Pomiędzy nimi jaśniejsze błyski pocisków wybuchowych, sprawiają wrażenie bengalskich ogni, przeskakujących po czerwonych węzełkach.

Obok, inny "oerlikon", wyrzuca taką samą strugę ognia równolegle do swego sąsiada. Jeszcze inny, dokonawszy poprawki już w czasie strzelania, przejechał się po sąsiednich ognistych ścieżkach, chlusnął pociskami jak z magistrackiej sikawki i ustalił linię ognia na jakimś, wybranym przez siebie kierunku.

Nad głowami zaczęły rozpryskiwać się pociski większych kalibrów. Kilka odłamków spadło na pokład, odbijając się od blachy okrętu. Wcisnąłem głębiej hełm i podsunąłem się bliżej nadbudówki z maleńkim daszkiem, osłaniającym akurat jedną czwartą szerokości głowy. W takich wypadkach można oberwać od "własnego".

Otrzymujemy rozkaz bombardowania lądu i wspierania własnych oddziałów, uderzających gdzieś na bliżej nieznanym mi odcinku. Trudno na okręcie orientować się w sytuacji. Podają ci punkt strzelania i grzmoci się. Jeśli linia natarcia jest bardzo postrzępiona, powyginana, można grzmocić raz po swoich, raz po nieprzyjacielu. Skoro nikt nie podnosi lamentu znaczy to, że pociski — jeśli nie wspierają, to przynajmniej nie utrudniają natarcia. Co innego, gdy strzelamy z obserwatorem na ziemi lub z lotnikiem. Każdy strzał jest wtedy obserwowany i poprawiany.

Ogień nieobserwowany nie jest zawsze skuteczny. Na nas jednak nie skarżono się jeszcze i nie słyszałem abyśmy grzmocili po swoich. Wręcz przeciwnie, składano podziękowania, a choćbyśmy pięćdziesiąt procent tych podziękowań odjęli i zapisali na konto uprzejmości Anglików, pozostałych pięćdziesiąt procent wystarczy, abyśmy czuli się dumni z wykonanego zadania.

Gruchnęły salwy naszych dział. Oślepiło nas kompletnie. W uszach dzwoni, dym drażni nozdrza, do oczu cisną się ciemne plamy i do złudzenia przypominają reklamę atramentu "Stephens Ink". Na horyzoncie ukazały się czerwone błyski wybuchających pocisków. Za nimi, już, "jak w mokre żyto", szły salwy jedna za drugą i "Dragon" rozstrzelał się na dobre.

Blisko nas w dalszym ciągu trwają popisy "oerlikonów" i słychać brzęczenie motorów lotniczych. Oj . . . jak wybierze nasze błyski za cel i rąbnie tym razem salwą bomb? Może być ciepło. Nikt nie zwraca na to uwagi. Nas chronią "oerlikony", a my . . . po Szwabach, po Szwabach. /A może i po swoich/. I wtedy to usłyszałem rozmowę: "Podpadli mnie Śwaby, podpadli, pieruńsko podpadli". Nie dziwię się, i mnie podpadli.

A dziś, przed nowym bombardowaniem, tym razem już nie tak "na wiwat", Z.D.O. odczytał nam podziękowanie dowódcy dywizji walczącej na wspieranym przez nas odcinku za to, że ogniem swoim zadaliśmy wielkie straty . . . nieprzyjacielowi, a umożliwili wykonanie zadania oddziałom . . . własnym.

Górą "Dragon".

STANISŁAW SIKORSKI

W rocznicę "Pomyślnych Wiatrów"

W czerwcu r.b. minął rok od rozpoczęcia wydawania oryginalnego, niespotykanego w świecie wydawniczym czasopisma polskiego na emigracji: miesięcznika "Pomyślnych Wiatrów". Jest to pisemko, wydawane na pokładzie "Ślązaka", redagowane przez marynarzy, stanowiących załogę tego sławnego już dzisiaj okrętu wojennego Rzeczypospolitej. Redaktorem jest st. mar. H. Mayak, który w chwilach wolnych od służby przy działach okrętowych, z prawdziwą pasją poświęca się temu pisemku. Warunki redagowania, a zwłaszcza warunki wydawania pisemka na pokładzie okrętu wojennego są z natury rzeczy wyjątkowo trudne, ale też dzięki temu pisemko to nabiera szczególnego charakteru i posmaku. Dość powiedzieć, że drugi numer "Pomyślnych Wiatrów" był wydany w czasie operacji "Ślązaka" pod Salerno.

W rocznicę "Pomyślnych Wiatrów", najoryginalniejszego pisemka morskiego, wydawanego w pierwszej linii frontu, składamy dowódcy "Ślązaka" jako patronowi, oraz redaktorowi, wszystkim współpracownikom i całej załodze — serdeczne gratulacje. "Pomyślne Wiatry", które tak chlubnie przetrwały o własnych siłach rok, zasługują na poparcie redakcyjne, a także na pomoc techniczną, w formie papieru i jakiegotakiego powielacza. Wydaje się, że tą nowa gałąź piśmiennictwa morskiego, zrodzonego i rozwijającego się w czasie wojny i to w pierwszej linii frontu, zasługuje na zapewnienie jej dalszego rozwoju.

BOB

Każdy żołnierz Polskich Sił Zbrojnych w Wielkiej Brytanii jedną książkę—dla żołnierzy Armii Polskiej na Wschodzie

Dotychczasowa suma zbiórki wynosi 4263 książek

Jeden dzień z nimi

Na początku wyglądało na przeziębienie: lekki ból gardła, trudności przy przełykaniu, siąkanie nosem, od czasu do czasu łzawienie. Ale mój przyjaciel lekarz, pogrzebawszy mi w gardle łyżeczką, wyjętą z *cup of tea*, potrząsnął głową i powiedział:

—"Ani śladu przyczyn organicznych; najwidoczniej objawy histerii; idź do psycho-analityka.

Psycho-analityk kazał mi usiąść w fotelu i nie myśleć o niczym, co mi przyszło z łatwością. Następnie rzucił słowo: "nóż" i zapytał, co mi to przywodzi na myśl.

—"Widelec" — odparłem bez namysłu, co go zbiło z tropu.

Po chwili rzekł:

—"Co ci się śniło ostatniej nocy?"

—"Nie pamiętam" — odpowiedziałem skromnie, na co on mruknął "Aa!", jakby już wiedział o mnie wszystko. Spojrzał na mnie przenikliwie i dla dopełnienia znajomości mej duszy zagadnął:

—"Jaki dziś mamy dzień?"

—"Siódmy dzień inwazji — westchnąłem — siódmy dzień latania nad NASZYM terenem po drugiej stronie Kanału, siódmy dzień oglądania z góry . . ."

—"Stop! — przerwał mi nagle — czy jesteś w dywizjonie myśliwskim?"

—"Byłem — odrzekłem ponuro — i będę — dodałem twardo. — Na razie nie jestem. "Na sześć miesięcy, powiedzieli, pójdziesz na instruktora". A tymczasem od półtora roku, jak balast, w tylnym siedzeniu sterczę. Mało tego — do propagandy kazali . . ."

—"Dość, dość — zakrzyczał psycho-analityk — całą twą podświadomość widzę na wskroś". — Poczem, zniżając głos do szeptu, syczał: — "Tęsknisz, tęsknisz do dywizjonu, tęsknota dusi cię w gardle, wyciska z oczu łzy, które wydostają się na powierzchnię świadomości w ocenzurowanej postaci objawów kataru!" — Dyszał ciężko, wyczerpany intensywnym myśleniem i upojony swą przenikliwością. — "Leczenie — mruczał — teraz leczenie po rozpoznaniu". — Wyciągnął palec wskazujący i triumfująco zawyrokował: — "Powinieneś wrócić do dywizjonu".

—"Powiedz to Rochowi" — pomyślałem ponuro, i z jeszcze bardziej ściśniętym gardłem wyszedłem po wizycie.

A nazajutrz był ósmy dzień inwazji, i znów słońce świeciło, i znów oni musieli tam latać. I nagle przyszło mi do głowy — pojechać do nich, choć na kilka godzin, zobaczyć ich , pogłaskać "Spitfire'a", posłuchać, co opowiadają. — Pędem na stację — pociągi co pół godziny, jeden odszedł przed minutą, trzy następne *cancelled without notice;* dziewięć *cups of tea* w *"Coffee Room"*, cztery strony *"Evening News"*, dostarczonych już przed południem, godzina w pociągu i oto dzieli nas już tylko kilka mil od stacji do lotniska. Kilkanaście minut autobusem, potem nawija się jakaś lorka /t.zw. "śmieciarka"/, która wyrzuca mnie już na skrzyżowaniu *runway'ów*.

Stoję chwilę i rozglądam się: dokoła pagórki i gaje, późna wiosna południa Anglii, stare dęby i młoda zieleń trawy, a z nieba spływa chóralny śpiew, nie, nie skowronków — to "Spitfire'y" wracają czwórkami i z cholernym fasonem, podciągając i wykręcając przez plecy, rozchodzą się do lądowania.

Idę w stronę *dispersal'u*. Naprzeciwko jedzie lora pilotów, zatrzymuje się raptownie, a zza szyby śmieje się do mnie kochana gęba Jurka. Drapię się po kole i błotniku, ściskam go, siadam komuś na kolanach i tak jedziemy do messy.

"Messa" — to namiot, wielki, kręty i dziurawy, ale z elektrycznym oświetleniem, które zresztą nie jest potrzebne, a poza tym nie działa. Właśnie schodzą się na obiad i chciało by się mieć kilka par ramion, by móc się z wszystkimi witać jednocześnie.

Zobaczyłem Wacka, więc śpiesznie na kolana przed nim padłem, jak przystało przed Królem, a on głowę mi lekko ścisnął i usiąść przy sobie przyzwolił.

Władek, Prezes Klubu Pesymistów, właśnie powrócił z jednodniowej wycieczki w obszar działania bomb latających i z rutyną zawodowego pesymisty ocenia sytuację. Przepraszam, nie: bomby latające, tylko: "Siromachy". — Szumiec tak je ochrzcił i tak się przyjęło, że innego na to słowa między naszymi myśliwcami nie usłyszysz. Wczoraj mieli sensację: leciała jedna Siromacha, kurs prosto na lotnisko, a za nią angielski myśliwiec goni i strzela: zestrzelił równo na brzeg lotniska. Nic się nikomu nie stało, tylko, kiedy się podnieśli, to jednego dębu nie mogli się doliczyć.

Właśnie Szumiec wszedł do namiotu, więc na jego mądrym, wysokim aż po kark, czole złożyłem synowski pocałunek.

Tymczasem Józek opowiadał, jak "nagrywał" do radia swoje wrażenia z *D-Day*. Po takim debiucie referował mi swe przeżycia z rutyną korespondenta wojennego: jak przed świtem wystartowali do inwazji; jak latali nad najpierwszą barką, która przybiła do brzegu Francji; jak spodziewali się krwawej wojny w powietrzu, a nie zastali prawie żadnej opozycji; jak w powietrzu gęsto było i jest od naszych samolotów — patrol "na każdym piętrze"; jak ciekawie wygląda front z góry, zwłaszcza to, że wcale nie ma frontu: wyobrażał sobie, że zobaczy dwa wojska, piersiami do siebie, a tymczasem widzi małe zgrupowania w różnych miejscach, pojedyncze czołgi, skraksowane samoloty i szybowce, dużo niemieckich trupów; opowiadał, jak pierwszym pragnieniem polskich myśliwców po pierwszym lądowaniu we Francji było — zobaczyć zabitych Niemców; jak następnym pragnieniem było — zobaczyć żywe Francuzki; jak one lubią Polaków — znacznie bardziej, niż Anglików; jak miło jest lądować we Francji i móc z niej znowu startować; jak woził chleb z dżemem w zbiornikach na benzynę dla obsługi lądowisk we Francji; jak Polacy, przymusowo lądujący na terenie, zajętym przez Niemców, wracali po kilku dniach do dywizjonów; jak polskie "Mustangi" od początku inwazji wciąż trzymają rekord zestrzeleń, nie pobity dotąd przez żadne ze "skrzydeł" alianckich.

Tak prawił Józek, podczas gdy na cynowych talerzach pojawiały się i znikały przysmaki, preparowane w kuchni polowej, tuż obok namiotu. Polska kuchnia, ale nie — polska kuchnia polowa, nie gularz, tylko cielęce kotlety, przepysznie przyrządzone jarzyny, kompot ze śliwek, słodka herbata.

Po obiedzie Władek zaprosił mnie do baru. Nie wierzyłem uszom, dopiero kiedy okazało się, że bar o tej porze zamknięty — zrozumiałem Władka uprzejmość.

Przed odjazdem właściciele samochodów rzucili się na wyścigi z propozycjami odwiezienia mnie na stację. Władek, którego auto słynne jest z szatańskiej mocy i anielskiej wytrzymałości, zaofiarował się śpiesznie:

—"Ja ci pokażę, którędy się najkrócej idzie".

Ostatecznie odwiózł mnie mój kuzyn wielką lorą, z wielką fantazją, z wielkim nieposzanowaniem dla moich nerwów. W pociągu jechał ze mną Jurek — na *day off* pod Londyn — i opowiadał więcej o obecnym lataniu, życiu. A ja piłem jego słowa, jak gąbka, upijałem się jego przeżyciami, razem z nim startowałem w kurzu francuskiego lądowiska, razem z nim dziwiłem się, że Kanał robi się coraz węższy i podróż na tamtą stronę coraz krótsza.

—"Przyjedź znowu!" — mówił Jurek, wysiadając. I śmiał się najmilszym ze swoich przemiłych uśmiechów. A moje wszystkie objawy kataralne wydostały się na powierzchnię świadomości gwałtowniej, niż poprzednio.

—"Przyjadę na pewno — rzekłem. — Przyjadę na dłużej. Może na długo".

GUSTAW NIERAD

Poradnik żołnierski

"Lipiny Śląskie" — Zapytuje Pan, czy od odzyskania przez Polskę niepodległości t.j. od r. 1918 lub 1919 do roku 1939 obowiązywał w Polsce wyłącznie prawostronny ruch kolejowy, czy też w niektórych okolicach Polski był pozostawiony ruch lewostronny.

W Małopolsce po odzyskaniu niepodległości był zachowany początkowo ruch lewostronny, podczas gdy w t.zw. Kongresówce i w Poznańskim obowiązywał ruch prawostronny. Później na całym obszarze Polski wprowadzono ruch prawostronny, ale kiedy to nastąpiło — nie możemy dokładnie ustalić. Sądzimy jednak, że ta odpowiedź zaspokoi Pana.

Kpr. A. Sob . . . — Sprawa uzyskania poświadczenia obywatelstwa. — Zapytuje Pan, jaką drogą może Pan obecnie uzyskać od władz polskich poświadczenie obywatelstwa.

Z przyjemnością możemy Panu donieść, że nie jest to wcale takie trudne, jak się Panu wydawało. Winien Pan wnieść podanie do Ministra Spraw Wewnętrznych /adres: Thorney Court, 55, Kensington Rd., London, W.8/ — koniecznie drogą służbową.

W podaniu tym napisze Pan, że na podstawie art. 3-go ustawy o obywatelstwie, względnie na podstawie art. 8-go ustawy o powszechnym obowiązku wojskowym z 1938 roku — prosi Pan o nadanie obywatelstwa polskiego, względnie o uznanie za obywatela polskiego. W podaniu tym może Pan również opisać swoje perypetie i trudności, jakie Pan miał z uzyskaniem poświadczenia obywatelstwa w Polsce. Obowiązkowo trzeba podać swoje dane personalne, jak: datę i miejsce urodzenia, przebieg służby wojskowej i t.d. O ile posiada Pan jakie dokumenty cywilne — należy je także dołączyć.

Ministerstwo załatwia takie sprawy b. szybko. Oczywiście trochę czasu zajmie droga służbowa, ale jest ona konieczna nie tylko ze względów służbowych.

W sprawie Domu Polskiego w Glasgow — poruszonej przez żołnierzy w listach do "Poradnika", otrzymaliśmy następujące wyjaśnienie:

"Dom Polski" w Glasgowie /12, Kensington Gate/ jest instytucją prywatną, założoną przez Scottish Relief Fund, Glasgow — Relief Committee, w domu własnym pastora Vernon, na ten cel Komitetowi bezpłatnie oddanym. Cena za nocleg ze śniadaniem wynosi 5 sh. dla oficerów i 3/6 dla szeregowych.

Wobec braku w Glasgowie do niedawna osobnego "Domu Żołnierza", komendant Polskiego Biura Wojskowego wyjednał w Zarządzie Relief Fund'u odstąpienie 10 łóżek dziennie w "Domu Polskim" dla żołnierzy przyjezdnych i przebywających na przepustkach w Glasgow — po cenie zniżonej 2/6 od osoby za noc wraz ze śniadaniem. Na cel ten oddane zostały łóżka znajdujące się w jednym pokoju /3 łóżka/ i wspólnej sali /8 łóżek/ w basement.

Chwilowo poza administratorem Domu i jego rodziną /razem 3 osoby/, zamieszkuje w Domu Polskim 5 osób.

Z uwagi na dłuższe zamieszkanie, korzystali z ulgi, uzasadnionej rzadszą wymianą bielizny pościelowej.

Jeśli chodzi o wyjaśnienie, na jakiej podstawie zażądano kiedyś od żołnierzy po 3/6 za noc, a nie po 2/6, to należy wyjaśnić, że obie ceny są dopuszczalne i zależne jedynie od charakteru pobytu w Glasgowie.

Książki o wojsku i wojnie

Album Sił Zbrojnych

"Twórcy niniejszego albumu opracowali go z myślą o naszych brytyjskich towarzyszach broni i przyjaciołach". Te pierwsze słowa przedmowy gen. Kukiela zawierają kwintesencję wszystkiego, co się złożyło na stworzenie albumu i to pomyślanego w takiej formie w jakiej się ukazał. Chodziło bowiem o wydawnictwo ilustrowane z tekstem, któreby mogło nie tylko znaleźć w każdym brytyjskim domu wdzięczne przyjęcie, ale i harmonizowało z brytyjskimi ozdobnymi albumami, znajdującymi się zwykle na stoliku przy kominku gwoli uprzyjemnienia czasu gospodarzy i gości. Poważną książkę o Polsce, nawet najlepiej opracowaną, gospodarz przeczyta lub jej nawet nie przeczyta, powie uprzejmie "*what an awfully interesting book*" i położy ją na półkach z książkami. Tam może sobie czekać bardzo długo, zanim ktoś ją znowu przeczyta. Wydawnictwo ilustrowane obejrzą nie tylko domowi, ale przerzuci chętnie każdy przybysz, którego uwagę przyciągnie okładka, a treść zaciekawi i w ten sposób dotrze także do wszystkich przyjaciół danego domu brytyjskiego. Czytelnik, przerzucający karty albumu, dzięki zwięzłemu wstępowi i komentarzom tablic, dowie się mimochodem w sposób bezbolesny o rycerskiej epopei narodu, który tak tysiąc lat temu, jak i dziś przeciwstawiał się niemieckiemu *Drang nach Osten*, oraz krwią swoją bronił nie tylko swych granic, ale i Europy.

Wielką zasługą tego albumu będzie, jeśli wielkie jeszcze masy mieszkańców tych wysp, którzy są przekonani, że Polska była jedynie nieudanym tworem traktatu Wersalskiego i słyszeli o niej jedynie jako o nowym państwie uciskającym swe mniejszości narodowe, spostrzeże, że państwo to było zorganizowane już przed dziesięciu wiekami, a w początku XV-go w wprowadziło w życie myśl polityczną jednoczącą na wieki, na złe i dobre, przeciwko wspólnemu niebezpieczeństwu Królestwo Polskie i W. Ks. Litewsko-Ruskie w Rzeczpospolitą trzech narodów.

Tego rodzaju krótkie, a tak podstawowe i tak wiele mówiące o wielkości i obliczu narodu informacje, rzucone mimochodem, znajdzie Brytyjczyk n.p. oglądając kusznika, dwu rycerzy i bojara litewsko-ruskiego na stronicy 3, i przyjmie je bez zastrzeżeń, bo wie, że głównym celem albumu jest przedstawienie żołnierza polskiego w różnych epokach, a nie propaganda z zakresu polskiej polityki państwowej czy zagranicznej.

Nasi towarzysze broni i przyjaciele brytyjscy, posiadający już pewną wiedzę o Polsce, znajdą w albumie wiele szczegółów i ciekawostek, które wzbogacą i rozszerzą ich wiadomości; wyjaśnią im one również wiele dotychczas zagadkowych dla nich znaków, zaobserwowanych na mundurach polskich żołnierzy, na przykład skrzydła husarskie, noszone na rękawie przez żołnierzy 10 Brygady Pancernej. Po przejrzeniu albumu i przeczytaniu komentarza zrozumieją pełnię treści tej odznaki, symbolizującej najpiękniejsze rycerskie tradycje narodu, o którym nawet Moltke, spoglądając z wieży kościoła św. Stefana na Wiedeń wyraził się, że w 1683 r. uratował chrześcijaństwo i Europę.

Wielką zaletą albumu jest, że twórcy oddali w nim wiernie styl epoki, który się przebija w najdrobniejszych szczegółach danej planszy. Wystarczy przyjrzeć się na przykład tablicy 21-ej przedstawiającej żołnierzy I-go Korpusu Polskiego na Wschodzie w 1917—1918. Żołnierze ci stanowili w morzu prawosławnych Rosjan wyspę i byli nazywani "katolikami". Ten ich rys artysta uwidocznił dając w głębi tła nagrobki z łacińskimi krzyżami. Epokę można odczytać niemal z każdej twarzy żołnierskiej, czy to weźmiemy tablicę pierwszą przedstawiającą księcia i wojów, czy też rycerskie oblicza husarzy i pancernych, którym życie upłynęło na "tańcu z pohańcem" w obronie wschodnich rubieży Rzeczypospolitej, wypielęgnowane, niemal panieńskie głowy oficera gwardii konnej i oficera pułku piechoty Królowej z okresu Króla Stasia /str. 9/, pokryte bliznami i poorane trudami wojennymi oblicza wiarusów napoleońskich, lub też chłopięce twarze legionistów Piłsudskiego.

Tworząc "Album Polskich Sił Zbrojnych w ciągu wieków", pomimo świadomości urazu na tym punkcie u wielu rodaków po tragicznych wypadkach we wrześniu 1939, nie można było wyrugować niemal aż do ostatnich stron — konia. Oddając wiernie historię Polskich Sił Zbrojnych trzeba się było zgodzić z rzeczywistością historyczną. Każdy, kogo stać na odrobinę bezstronności musi uznać fakt, że przez długie wieki kawaleria była główną siłą zbrojną w Europie, decydującą o losach bitew, a w historii Polski, będącej terenem ciągłych najazdów, odegrała specjalną rolę. Jej krwi i brawurze zawdzięczamy najwspanialsze zwycięstwa, a będąc ulubionym rodzajem wojska Polaków — tworzy wspaniałą tradycję i rozwija różnorodność form, które stały się potem wzorem dla innych narodów. "*Lancers*" w brytyjskim wojsku przyjęli zupełnie umundurowanie polskich ułanów i szwoleżerów z czasu wojen napoleońskich.

Byłem mocno zdziwiony, gdy w pewnym irlandzkim domu, wśród iście muzealnego zbioru obrazów i rzeźb koni, zobaczyłem wspaniały rząd, mundur i lancę z biało-czerwonym proporczykiem, zupełnie takie same, jak w albumie na tablicy 12-ej, przedstawiającej między innymi ułana Legii Nadwiślańskiej z 1808. Pani domu, 70-letnia już staruszka, wyjaśniła mi, że jest to mundur i rząd jej męża, służącego przez kilka lat w którymś z "*Lancers*" w Indiach. Jedyną różnicą były guzy na napierśniku i ogłowiu konia z liczbą i nazwą pułku. Ani ona, ani nikt z Brytyjczyków nie wiedział zapewne, że czaka ułańskie, mundury i ich barwy były noszone najprzód przez Polaków i są wzorowane na dawnych barwach pułków Rzeczypospolitej.

W ostatnim numerze kwartalnika "*Riding*" w artykule ppłk. E. Riana "*Russian cavalry*", dającego obraz kawalerii rosyjskiej za czasów carskich i obecnych, jest ilustracja rosyjskiego ułana z notatką "zauważ, charakterystyczne polskie czworokątne czako ułańskie".

Po wydaniu "*Polish Armed Forces through ages*" Brytyjczycy, interesujący się ciągle, nawet dziś w epoce "Moskito" i "Latających Fortec", wszystkim, co ma związek z koniem, znajdą wiele przyjemności w oglądaniu tej bogatej wystawy jazdy i nie będą potrzebowali się dowiadywać o tym, jak wyglądało dawniej wojsko polskie, z artykułu o rosyjskiej kawalerii.

Największą siłą atrakcyjną albubumu, która go czyni miłym podarunkiem dla każdego Brytyjczyka jest to, co u niektórych rodaków wywołało przekąs: koń. Umiłowanie konia jest cechą wspólną duszy Brytyjczyka i Polaka i umiejętne wykorzystanie tego pomostu i innych podobnych drobnych rzeczy przez naszą propagandę może dać znacznie większe rezultaty, niż kampania wyłącznie na temat rzeczy wielkich: bohaterstwa, cierpienia, wyczynów wojennych czy ofiar złożonych dla wspólnej sprawy. Kto zna dobrze Brytyjczyków i podpatrzył czym jest dla nich każde "*hobby*", a zwłaszcza niektóre z nich uświęcone tradycją najwyższych klas i nawet rodziny panującej — temu moje twierdzenie nie wyda się paradoksalne. Dowody na poparcie mego twierdzenia dam w zakończeniu, po uprzednim wyjaśnieniu w kilku słowach dlaczego tyle miejsca w tablicach poświęcono koniowi.

Koń w życiu polskim odgrywał bardzo wielką rolę nie tylko dlatego, że wartość jazdy w dużej mierze zależała od wartości konia, ale też dlatego, że w czasach, gdy w Polsce drogi były kiepskie i mawiało się, że "polski most, niemiecki post, cygańskie nabożeństwo — wszystko to błazeństwo" koń był najlepszym środkiem lokomocji. Stał się on nieodłącznym towarzyszem Polaka od kolebki do grobu, dzielił trudy pracy na roli i niebezpieczeństwa "wojennych potrzeb", a w spokojnych chwilach życia wiejskiego był najmilszą rozrywką, na łowach z chartami czy sokołami. Konno Polak wybierał swego króla, konno udawał się na sejmy i sejmiki, a gdy odprawiał doniosłe poselstwo, koń pod nim gubił złote podkowy na ulicach Rzymu.

W czasach owych "klaczka, pszczółka i pszenica ratuje z biedy szlachcica", a ówczesne ruskie przysłowie mówi: "Lach bez konia, to ryba bez wody, ciało bez duszy, chłop bez świni, żyd bez kozy, a gospodarstwo bez kota na zapiecku". Stąd, pomimo, że to brzmi jak anachronizm w naszych czasach, koń jest wyliczany w większości polskich przysłów, czy to jako miara szczęścia /"szczęśliwy, jakby go kto na sto koni wsadził"/ lub przedmiotem mądrych rad: "nie ufaj koniowi — a niewieście nie wierz", "koń, panna i wino — wielkiego ochędóstwa potrzebują", "w koniu wiosna — w pannie ślub wady odkrywa", "jak dasz koniom jeść, tak cię będą wieźć", "kto konia nie spróbuje, kulawego kupi i kto panny nie znając żeni się — ten głupi", "konia sprzedaj daleko — żeń się blisko" i t.d., i t.d.

Jest dlatego łatwo zrozumieć, że Polak w owych czasach był urodzonym jeźdźcem i że nasz naród był zdolny stworzyć najlepszą jazdę w Europie.

Pierwsze plansze albumu ukazują nam konia ciężkiego i takim ten koń musiał być w owych czasach, bo walki z Niemcami, siedzącymi na Fryzach, zmuszały nas do krzyżowania z fryzyjskimi ogierami naszych miejscowych klaczy, które były niewielkie i należały prawdopodobnie do tej samej grupy co szkockie *Highland ponies* i miejscowe koniki irlandzkie opisywane przez Ewarta jako "*Equus Celticus*".

W późniejszych wojnach ze Wschodem trzeba było jazdy siedzącej na koniu lekkim, "zwrotnym, wytrzymałym i szybkim". Zdobyczne ogiery arabskie, perskie, tureckie, berberyjskie i tatarskie napływają w wielkiej liczbie do Polski i służą do uszlachetnienia pogłowia końskiego. Powstaje w ten sposób "koń polski", uważany za najlepszego konia w owych czasach. Koń ten ma dwa typy: "husarski" i t.zw. "podjezdek". Pierwszy, około 170 cm., mocny dostatecznie, aby niósł swobodnie husarza, zakutego w żelazo, a jednocześnie raczy i zwrotny, aby mógł wykonywać zwroty w galopie. Drugi: "podjezdek" używany w chorągwiach semenów, petyhorców, dragonów, chorągwiach wołoskich i innych lekkiego autoramentu, był koniem około piętnastej miary, lekkim, zwrotnym i nie do zdarcia. Na nich to przejechali Europę wzdłuż i wszerz, w czasie Wojny Trzydziestoletniej Lisowczycy, przed którymi cesarz Maksymilian zdjął kapelusz na znak podziwu, gdy widział, jak skakali z wysokiego brzegu Renu i szli po drugiej stronie wprost z wody w bój. Nie jest moim celem dziś rozpisywać się na temat dawnego "konia polskiego" dlatego powiem tylko, że koń ten w obu swych typach zachował charakter orientala i według słów Czapskiego "był hodowany przez każdego — od króla do najuboższego z osiadłej szlachty".

Choć nie widzę konieczności, aby konie pod polską jazdą z w. XVI-go, XVII-go i XVIII-go na tablicach 5, 6, 7, 8 były ściśle malowane przez twórcę albumu według ówczesnych malarzy tego konia, bo oni malowali go, jak wówczas była moda, według przyjętego szablonu, n.p. z małą nieproporcjonalnie głową, rozłupanym zadem i t.d., co wątpię, aby odpowiadało rzeczywistości, jednak konie te powinny mieć więcej orientala w swym wyglądzie. Natomiast koń pod oficerem Kawalerii Narodowej na tablicy 10-ej jest już bardziej zbliżony do typu, rzeczywiście hodowanego w tym czasie, jak również konie pod Dowborczykami na planszy 21 są w typie konia półkrwi, chętnie widzianego w kawalerii w ostatnich dziesiątkach lat.

Wspomniałem, że wielką zaletą albumu, która mu łatwo pozwoli spełnić jego rolę propagandową w tym kraju, jest wprowadzenie do niego konia, bo do niego Brytyjczycy podobnie jak Węgrzy, Irlandczycy i Polacy mają wrodzone przywiązanie jeśli nie pasję i to bez względu na klasę. Ten sentyment sprawia, że w piątym roku wojny odbywają się wyścigi konne, pomimo "*ploughing order*" i pomimo, że transport żywności kosztuje wiele żyć ludzkich. W każdej gazecie znajdziemy wyniki wyścigów, wywiady z trenerami i omawianie możliwości koni zapisanych do wyścigów. Gdy kilka tygodni temu "Sun Chariot", klacz która w 1942 r. wygrała "*One Thousand Guineas*", "*Oaks*" i "*St. Leger*" urodziła w National Stud swe pierwsze źrebię po "*Blue Peter*", wszystkie gazety pisały artykuły na całe szpalty, a "*Picture Post*" zamieściła conajmniej 10 fotografii źrebięcia we wszystkich możliwych pozach. Dlatego, żeby zobaczyć "*Oaks*" i "*Derby*" w zeszłym roku Brytyjczycy płacili w Newmarket po £5 za miejsce w fotelu, aby przedrzemać noc, a w tym roku maszerowali dziesiątki mil na otwarcie wyścigów. Minister Opału zaczepiony w Parlamencie "jaką akcję zamierza przedsięwziąć w związku z tym, że ok. 2000—3000 taksówek było użyte, aby przewieźć publiczność na tor wyścigowy w Windsor w Poniedziałek Wielkanocny" daje z miejsca gotową odpowiedź, że było 659 taksówek i "*none contravened the Control of Motor Fuel Order*".

Każdy zwiedzający urządzoną przez *Daily Telegraph*: "*Prisoners of War Exhibition*" może zobaczyć artystyczne prace o tematach "końskich" i ozdobne protokoły zebrań "Flieger Jockey Club", założonego w Stalagu przez lotników brytyjskich, gdzieś w Niemczech.

Ten głęboko kryjący się czasem sentyment dla konia sprawia, że nie ma brytyjskiego domu, gdzie nie zobaczyłoby się obrazów przedstawiających pierwsze *steeple* w Pontefract, sceny z polowań oraz takich książek jak "*World of Horses*", "*Hunt by scent*", "*The sport and the war*" i t.p.

Dlatego wierzę, że album "*Polish Armed Forces through ages*", tak jak jest on pomyślany, znajdzie łatwy wstęp do każdego domu i każdego serca na ziemi brytyjskiej.

KAZIMIERZ RUTCZYŃSKI

LIST AMERYKANINA

Drogi Redaktorze!

Może nieco zdziwi Cię ten niniejszy mój list, ale są pewne przyczyny, skłaniające mnie do napisania tych paru słów.

Nie jesteśmy sobie obcymi! "Polskę Walczącą" znam od czasu, kiedy to zaczęto wydawać ją we Francji. Pracowałem wówczas w redakcji jednego z naszych polskich tygodników w Ameryce i osobiście wysyłałem numery wymienne.

Bo widzi Pan — jestem młodym Amerykaninem, wychowanym w Polsce! Kiedy mój ojciec przyjechał do Polski, ja wyjechałem do Ameryki — i wojna przyszła. Moi rodzice w rękach nazistowskich. Także koledzy i koleżanki. Wszystko, co miałem, co całym sercem ukochałem — tam w Polsce — zniszczone.

Chociaż tu urodzony, nie umiałem ani słowa po angielsku. Studiowałem i obecnie władam angielskim, jak każdy chłopak, który ukończył "*High School*".

W Polsce pracowałem z młodzieżą, obecnie tu pracuję z młodzieżą polsko-amerykańską. Moim marzeniem jest wrócić do Polski.

W załączeniu przesyłam Wam pisemko "*Polish American Youth*", które sami wydajemy. Moje artykuły /see pages 3, 15 and 21/ a szczególnie na stronicy 16-ej: "*Poland fights on*" — może zainteresują Pana. Dałem fotografie polskich lotników /gdybym otrzymał od Was matryce — chętnie umieściłbym fotografie z życia polskich żołnierzy, marynarzy lub lotników/. Bardzo proszę o takich parę zdjęć.

"Polski Walczącej" obecnie nie otrzymuję. Czy mógłby Pan umieścić moje nazwisko na liście adresowej? Tym, którzyby chcieli nawiązać serdeczną nić korespondencji — proszę podać mój adres.

Chętnie wysłałbym wam dalsze numery naszego pisemka, ale właśnie omawiam spór polsko-rosyjski i cenzor nie przepuści. Czekam na "Polskę Walczącą" i listy.

Wilfred E. Mis, P.O. Box 12,
Chicopee Falls, Mass, U.S.A.

Skrzynka pocztowa

W SPRAWIE WYCHOWANIA MŁODZIEŻY DLA DZIEŁA POKOJU

Wielce Szanowny Panie Redaktorze!

Niezmiernie słuszne było, moim zdaniem, umieszczenie w "Polsce Walczącej" /nr. 16/ artykułu wstępnego Zbigniewa Grabowskiego p.t. "Klucz przyszłości". Poruszone tam bowiem zostały sprawy pierwszorzędnego znaczenia, niestety, niezupełnie dziś jeszcze doceniane w naszym środowisku. Na tle krótkiego rozbioru metod wychowawczych, stosowanych w państwach totalnych, p. Grabowski wykazał, jak wiele ruchy te zawdzięczają dynamizmowi młodzieży, dochodząc w następstwie do wniosku, iż "bez podjęcia śmiało na wielką skalę kampanii wychowawczej, bez wciągnięcia młodzieży do tej akcji . . . nie ma mowy o trwałym pokoju, nie ma mowy o stworzeniu atmosfery, sprzyjającej rozwojowi prawa, kultury, istotnych swobód ludzkich, ludzkiego obyczaju".

Są to słowa pełne alarmującej nagłości. Stoimy bowiem naprawdę w "obliczu ruiny Europy, wielu wartości ludzkich, w obliczu spustoszeń w dziedzinie moralnej". Chcąc temu zaradzić, trzeba zacząć od wychowania. P. Grabowski poddaje myśl, iż idea zjednoczenia Europy zapalić może umysły, wskrzeszając entuzjazm do pracy odbudowy. Zagadnienie to powinno wzbudzić zainteresowanie w szerokich kołach. Zbyt jest istotne, by przeminęło bez echa.

Ze swej strony chciałbym się podzielić paroma uwagami, które na ten temat wyłoniły się w środowisku młodych, w którym żyję.

Doceniamy w pełni wartość zjednoczenia Europy. Wierzymy, że idea ta jest w stanie wyeliminować ciągłe zniszczenia, które niosą z sobą wojny wieku cywilizacji. Jedność Europy przyczyni się bezsprzecznie do rozwoju kultury i polepszenia warunków materialnych człowieka, dając mu jednocześnie pełną wolność. Powodując się jednak doświadczeniem, żywimy cały szereg obaw, które przede wszystkim muszą być usunięte.

Poznając powoli wpływ i kolosalne znaczenie systemów politycznych, które obecnie kierują wysiłkiem narodów, obawiamy się. iż idea zjednoczenia łatwo może być im podporządkowana i pod etykietą "jedność" dać przewagę materialną, jak i duchową jednych nad drugimi. Obecnie przyjęło się nazywać to "podziałem na strefy wpływów"; często słyszymy o tym, iż podział ten może się odbyć w obrębie kilku zaledwie mocarstw. Taka koncepcja będzie podważała zaufanie do myśli zjednoczenia. I dlatego uważamy, że wolno nam będzie do zjednoczenia przystąpić dopiero wtedy, gdy będziemy do tego całkowicie przygotowani.

Przez przygotowanie rozumiem całkowite skonsolidowanie naszych wartości, oczyszczenie ich z obcych naleciałości i w końcu należyte ich uznanie przez współpartnerów Zjednoczenia. Nie jest megalomanią stwierdzenie, że Polska wiele już wniosła wartości pozytywnych do życia Europy. I to zarówno w dziedzinie wysiłku materialnego i duchowego, jak i w obronie osiągniętych zdobyczy. Nie wystarczy fakt, iż ten nasz wysiłek nie jest kwestionowany w obozie walczących Narodów. Mamy pełne prawo żądać, by był on w pełni uwzględniony.

Istnieje obecnie przy zestawianiu wkładu różnych narodów w tę wojnę dążność do podziału na dwie grupy: wkład militarny, liczony dziesiątkami armat, samolotów, żołnierzy, oraz drugi, nie dający się ująć cyfrą — krwi i ofiary podbitych narodów. Dla tego drugiego jest sympatia i uczucie podziwu. Pierwszemu jednak przypisuje się pierwszeństwo i większe prawa w powojennej Europie.

Brak w tym rozumowaniu równowagi. Ludzie, którzy w ocenie wartości sugerują się jedynie cyfrą, ilością — a nie jakością, nie mogą budować zjednoczenia Europy, gdyż taka Europa nigdy nie będzie Europą Jedności.

Z tego wynika następna z kolei nasza troska. Europa zjednoczyć się może dopiero wtedy, gdy wartości moralne będą przodowały we wszystkich narodach. Będzie wtedy również możliwe wspólne i zgodne określenie "wroga Zjednoczenia". Określenie to jest konieczne, by nie dopuścić do rodziny Narodów Zjednoczonych różnych idei, które również głoszą zasadę wspólnoty, na zupełnie jednak innych opartą podstawach.

"Idea Zjednoczenia jest myśla naprawdę wielką, by zapalić umysły młodzieży. Trudności zaś, które stają na przeszkodzie do jej urzeczywistnienia, wystarczająco duże, by mogły być ujściem dla sił i ambicji młodzieży". O tym trzeba przede wszystkim powiedzieć młodzieży świata — wychowując ją dla idei Zjednoczenia.

Słuszne jest stwierdzenie p. Grabowskiego, że przed wojną "w demokracjach zagnieździła się niebezpieczna mądrość, iż tylko ludzie starzy winni ponosić odpowiedzialność, obawa przed młodością, inicjatywą". Słusznie przytoczony został przykład rozwoju R.A.F., zaniedbanego w czasie pokoju — ratującego Imperium i sprawę sojuszniczą w czasie wojny.

P. Grabowski jeden jeszcze moment w życiu młodzieży podkreśla. Wykorzystanie przez ruchy totalne jej rozgoryczenia istniejącego w okresie przełomu. Rozgoryczenie to wynikało z zaniedbania, z braku jasnych haseł, wymagających odpowiedzialności i wysiłku.

Stoimy na przełomie nowego świata. Rozgoryczenie młodzieży przeszło w swym procesie w "ruinę nerwów, wynaturzenie wyobraźni, spaczenie instynktów, nasilenie nienawiści", a z drugiej strony w zobojętnienie i sceptycyzm. Niekiedy nawet wraca hasło użycia: *carpe diem*. "Umysły młodzieży są jednak rzeczą niebywale plastyczną, uległą, zmienić je można niezmiernie szybko, nałamać do nowych pojęć i form". Trzeba ją wychować nie przez zakłamanie, lecz prawdziwą ideę i prawdziwy obraz rzeczywistości.

Pozwolę sobie dorzucić do założeń p. Grabowskiego jeszcze parę uwag:

1/ nim rozpocznie się wychowanie międzynarodowe młodzieży, należy rozpocząć i to najrychlej wychowanie wewnętrzne, którego pierwszym zadaniem będzie całkowite zjednoczenie młodzieży do walki o jutro.

2/ zwalczanie już dziś apatii i zobojętnienia, a jeśli nie występują one w poważnych rozmiarach ustrzeżenie przed nimi młodzieży na przyszłość — przez ustawiczne przypominanie jej zadań. Zadania te, to: na dziś — walka z wrogiem wolności aż do zwycięstwa i samo-przygotowanie się każdego z nas do nowego życia, na jutro: odbudowa zniszczeń materialnych i duchowych oraz zbiorowy wysiłek nad urobieniem w człowieku typu społecznika.

3/ już dziś rozpocząć należytą, mądrze kierowaną propagandę dla wzbudzenia i podtrzymania zainteresowania dla idei, którą zrealizować ma nasze pokolenie.

W ten sposób kierowane wychowanie młodzieży potrafi na pewno wykorzystać dynamizm młodzieży dla wielkiej sprawy, jaką jest pokój Europy.

Łączę wyrazy szacunku

Zbigniew Janicz

Dla Polaków w Rosji: £10,983

The Editor, "Polska Walcząca",
5, Portugal St., London, W.C.2.

Dear Sir,

Please find enclosed cheque £1. I would be obliged to you if you would use the money in help for Polish refugees in the U.S.S.R.

I remain

Yours faithfully,

Hella Loewenheim
/née Bashkin/

* * *

Redakcja "Polska Walcząca",

W załączeniu przesyłam M.O. na kwotę £3 sh.13 d.1, złożoną przez żołnierzy . . . dyonu z dobrowolnych składek dekadowych w miesiącu czerwcu r.b. z przeznaczeniem na pomoc Polakom w Rosji.

Dowódca Dyonu
M.K. major

* * *

W załączeniu przesyłam Money Order na kwotę jednego funta z prośbą o przekazanie go na rzecz "Pomoc Polakom w Rosji".

Z poważaniem

ppor. Stanisław W.S.

Łączną sumę zbiórki w dzisiejszym numerze w kwocie £5.13.1 /słownie: pięć funtów, trzynaście szylingów. 1d./ przekazaliśmy Polskiemu Czerwonemu Krzyżowi.

Suma powyższa podnosi ogólną sumę zebraną dotychczas na ten cel za pośrednictwem "Polski Walczącej" do £10,983.14.5 /słownie: dziesięć tysięcy dziewięćset siedmdziesiąt trzy funty, czternaście szylingów, 5d./ 28 dolarów kanadyjskich, 108 pesetów hiszpańskich, 5,50 dolarów amerykańskich, 15 czerwieńców i 100 milrejsów brazylijskich.

POLISH CHILDREN RESCUE FUND

Do Redakcji "Polski Walczącej",

Przesyłam Postal Order na kwotę £1.10.0 na rzecz "Dzieci polskie z Rosji".

ppor. lekarz P.

POSZUKIWANIA

Poszukuje się STANISŁAWA ŚWIESZCZA urodzonego w dniu 20 lipca 1903 r., b. urzędnika Banku Rolnego we Lwowie, zamieszkałego tamże na Stryjskiej nr. 36. Aresztowany we Lwowie 22 marca 1940 r., umieszczony w więzieniu na ul. Jachowicza we Lwowie. W dniu 15 maja 1941 r. wyprowadzony i od tego czasu wszelki słuch o nim zaginął. Według przypuszczenia został umieszczony w więzieniu w Brygitkach lub na Zamarstynowie we Lwowie.

Wszystkie osoby mogące udzielić dalszych informacji uprasza się najusilniej o niezwłoczne kierowanie ich do Redakcji "Polski Walczącej".

* * *

Poszukuję TERESĘ ŻYNIEWICZ z Poznańskiego. Ostatni znany adres w Krakowie, wszelkie informacje kierować do Redakcji "Polski Walczącej".

* * *

Książki Jerzego Ostrowskiego: "W Widłach Wisły i Sanu" poszukuje inż. J. Nalborczyk, Southfield San. Edinburgh, 9.

Zbiórka książek

P. J. Nalborczyk przesłał: "Kraj lat dziecinnych", "General Engineering Workshop Practice", "An A.B.C. of English Usage", R. T. Skinner: "The Royal Mile", R. Kipling: "Kim", "Motor Vehicles in a Nutshell", "The King's English", R. Masson: "Scotland the Nation", "The Brown and Sharpe Handbook".

* * *

P. K. Zbyszewski przesłał: Cz. Jeśman: "Klejnot srebrzystych mórz" i "Północne podróże podhalańskie", Madame Chiang Kai Shek: "China Rediscovers her West", R. Pobóg: "Żołnierskie strofy", J. Pietrkiewicz: "Umarli nie są bezbronni", M. Lisiewicz: "Kroniki maroczańskie", S. Mackiewicz: "Powrót Kota", "Kryzys rządu", "Maj 1944", "Wilno", "Po zgonie ś.p. gen. Sikorskiego", "Pomniki literatury ojczystej" /2 egz./, K. Leskowiec: "Polska po wojnie", "The Russian Forward Area", "L'Anglais apris en quelques jours".

* * *

Do Redakcji "Polski Walczącej",

Uprzejmie proszę o przesłanie załączonych książek — według uznania. Powyższe książki ofiarowane zostały przez nauczycielkę szkoły angielskiej.

Z poważaniem

W. Bernard

Załączone: L. Żeligowski: "Zapomniane prawdy", "Men of History", C. Ransome: "History of England", Woodward: "An Outline History of the British Empire", "History of Great Britain", Gardiner: "Outline of English History", "A Brief Survey of British History", W. N. Molesworth: "The History of England", "Cameos of Literature", C. Ransome: "A Short History of England".

Na "paczki od serca": £3,412

Stosownie do życzenia Ks. Kapelana Głażewskiego, który był łaskaw odprawić Mszę Św. na intencję mej rodziny — przesyłam w załączeniu P.O. na kwotę sh.10 prosząc o przekazanie jej na paczki od serca dla jeńców z P.S.K.

Z poważaniem

S.C.

* * *

Przesyłam bezimiennie £1 /jeden funt/ na paczkę dla jeńców polskich w Niemczech.

* * *

Zamiast prezentu dla S/Sgt. Stanisława Akielaszek z IX U.S.A.A.F., zgodnie z jego życzeniem, Oficerowie Polskiego Lotnictwa przydzieleni do IX U.S.A.A.F. składają sumę £7 na "Paczki od serca" dla Polskich Lotników w niewoli niemieckiej.

Załączam kwotę £7 /siedm funtów/

Oficer Łącznikowy
M.P. mjr. pil.

* * *

Panie Redaktorze,

W załączeniu przesyłam Money Order na £5 /pięć funtów/ na paczki od serca dla jeńców z Kampanii Wrześniowej, przyczem załączam trzy niebieskie zapotrzebowania na paczki żywnościowe à sh.16 i adresy sześciu jeńców, którym proszę o posłanie po 500 papierosów.

Pozostaję z szacunkiem

mjr. E.Kw.

* * *

Znaleziony znaczek za sh.1.

* * *

Łączną sumę zbiórki w dzisiejszym numerze w kwocie £13.11.0 /słownie: trzynaście funtów, jedenaście szylingów/ przekazaliśmy Sekcji Pomocy Polskim Jeńcom Wojennym Stowarzyszenia Służby Społecznej Kobiet.

Suma powyższa podnosi ogólną sumę zebraną dotychczas na ten cel za pośrednictwem "Polski Walczącej" do £3,412.5.4. /słownie: trzy tysiące czterysta dwanaście funtów, pięć szylingów, 4d./ 50 milrejsów brazylijskich i 3 dolary amerykańskie.

POSZUKIWANIA

Poszukuje się: Romana Józefa OLINKIEWICZA ur. 1917 r. w Przemyślu, syna Jakuba i Mieczysławy z Sikorskich, podchorążego czynnej służby Lekkiej Artylerii z Torunia, który 20 września 1939 r. dostał się do niewoli rosyjskiej i przebywał w obozie jeńców w Starobielsku. Do dnia 1 kwietnia 1940 r. pisywał regularnie do rodziny — ostatnia wiadomość była od niego z datą 1 marca 1940 r. Od czasu tego wszelki słuch o nim zaginął.

Wszystkie osoby, któreby mogły dać jakiekolwiek informacje, proszone są gorąco o skierowanie ich do Redakcji "Polski Walczącej".

Wszyscy wojskowi, którzy przebywali we wspomnianym obozie w Starobielsku, specjalnie są proszeni o wyczerpujące wiadomości.

* * *

Poszukiwani: Abraham i Inda PELIZ /z domu Baschkin, ur. w Kamieńcu Litewskim/ oraz ich troje dzieci. Ostatni adres: Białystok, ul. Dzika 3.

Uprasza się wszelkie wiadomości kierować do: Lowenheim, 136, Hatherley Ct., Hatherley Grove, London, W.2.



. . . ŚMIEJMY SIĘ — BO KTO WIE CZY WOJNA POTRWA TRZY TYGODNIE . . .

W DOBIE SAMOLOTÓW BEZ PILOTA



—George, ten samochód jest na pewno niemiecki!
—Dlaczego?
—Nie widzisz, że jest bez szofera . . .

PODOBNO AUTENTYCZNE

Pewien artysta, który powrócił z Ameryki, opowiada treść rozmowy z królem tenorów:

—Mistrzu, błagam cię, przestań mówić o polityce, śpiewaj!

—Co??? Grubo się mylisz, jestem prawnikiem więc mogę się zajmować polityką. Zresztą po śmierci Paderewskiego jestem jedynym następcą . . . Kocham Naród a Naród mnie, więc kto wie, czy nie zostanę Prezydentem . . .

OKREŚLENIE MIEJSCA

—Gdzie pan mieszka w Londynie?
—Szkoda mówić, na takim "wydmuchu" torpedowym!

JAK NALEŻAŁO BY ZAPOWIADAĆ W POLSKIM RADIO

. . . "a teraz nadajemy sekundę muzyki polskiej z płyt" . . .

W LONDYNIE

—Kiedy pan bierze urlop? Czy pan teraz chce wyjechać?
—Nie, odkładam urlop na okres bomb . . . rakietowych.

POWIEDZONKO

Mówią, że jeden z ministrów miał się wyrazić:
—"Niedaleko spadła bomba od Strattonu" . . .

W OKRESIE ALARMÓW



Nasz ruch podziemny w Londynie . . .

W BERLINIE



—Teraz to już wierzę, że Hitler się podda . . .
—Dlaczego?
—Dla pewności kazał ścinać wszystkie latarnie.

NOWA KATEGORIA

—Wiesz jaka jest najlepsza kategoria w wojsku?
—Może "F"! . . .
—Nie, kategoria "W" — "wujka" plecy w "Rubensie" . . .

WIERSZ "PESTKI" W DOWÓD PAMIĘCI ZA CZEKOLADKI

Lipiec 1944 r., Londyn

Wiedziałam, żeś brunet i gładki,
A teraz wiem także, żeś słodki,
Odkąd nosisz czekoladki
Dla biednej Marysi-Sierotki.
"Biednej sierotki", bo samej,
Samej w domu, biurze i wszędzie,
Bez męża, sweethearta, czy flamy,
Tak niestety jest i pewnie będzie.

NA KURSIE SANITARNYM

—Jak się nazywa taki lekarz, który nie podaje pacjentom ręki?
—???
—Weterynarz! . . .

"TAM GDZIE SIĘ DWU BIJE"

—Wie pan, że na tym "blitzu" to najlepiej wyjdą Czesi!
—Dlaczego?
—To pan nie wie, że są specjalistami od fabrykacji czeskiego szkła? . . .

W OCZEKIWANIU NA "SZYBOTŁUKA"



—John, w tej chwili zejdź z komina!
—Mamusiu, ja jestem lokalnym punktem alarmowym . . .

KOLEJE LOSU

Hitler chciał "Lebensraum" — tymczasem czeka go "Totenraum" . . .

WYBRNĘŁA

—A niech tego Hitlera gęś kopnie — mówi jedna z Polek w czasie nalotu.
—To mu pani niewiele życzy . . .
—No tak, ale gęś z nadziewką . . . dynamitową!

AKTUALNOŚCI LONDYŃSKIE

—Co słychać?
—Jak słychać, to dobrze, gorzej jest, jak nie słychać . . .

TRZY LINIE

—Z tymi Niemcami, nie jest tak kiepsko na Wschodzie. Jeszcze mają trzy linie obronne.
—Jakie???
—Linię Curzona, linię Ribbentrop — Mołotow i linię Maginota . . .

Tekst i rysunki: **TONY**

RZECZY CIEKAWE, ZABAWNE I POŻYTECZNE

George Orwell opowiedział raz w "*Tribune*" anegdotę o tym, jak Sir Walter Raleigh, który siedział w "*Tower of London*" — tej niezburzonej londyńskiej Bastylii — postanowił napisać historię świata. Pewnego dnia, gdy pisał już drugi jej tom, zobaczył przez okno swej celi bójkę między dwoma robotnikami. Bójka zakończyła się zabiciem jednego z nich. Sir Walter Raleigh zainteresował się tą sprawą i wypytywał się wszystkich o powody bójki, której sam był świadkiem. Jednak mimo iż wypytywał się bardzo usilnie, nie umiał dociec prawdy. Wobec tego spalił napisany tom.

Nie chciałbym być złośliwy, ale zdaje mi się, że ta historia ma pewien morał któryby można zastosować do niektórych współcześnie piszących Polaków. /d/

* * *

Pewien rozbitek był dziesięć lat na bezludnej wyspie. Któregoś dnia zauważył okręt na horyzoncie. I jego dostrzeżono widocznie z okrętu, bo spuszczono łódź i wysłano do brzegu. Z łodzi wysiadł na brzeg marynarz i podał rozbitkowi plik gazet. — "Kapitan kazał się Panu kłaniać i prosi, aby Pan przeczytał te gazety. Jeśli Pan mimo to zechce wrócić między ludzi cywilizowanych, to przyślemy po pana szalupę!" /d/

* * *

W domku pewnej starszej pani zakwaterowano dwu żołnierzy. Powitała ich uprzejmym uśmiechem i zaprowadziła do gościnnego pokoju. Żołnierze poczęli rozładowywać swój ekwipunek. Hełmy stalowe, maski gazowe, plecaki, worki na odzież, konserwy "żelaznych racji" i t.d. Nagle jej twarz się zachmurzyła: — "Powiedzcie młodzi ludzie" — zapytała — "czyście doszli do tych wszystkich rzeczy uczciwą drogą?" /d/

SPIS RZECZY:

OGŁOSZENIE

Kierownictwo Marynarki Wojennej zawiadamia o zaciągu ochotniczym do Pomocniczej Morskiej Służby Kobiet dla kandydatek do służby zdrowia Marynarki Wojennej.

Ogólne warunki przyjęcia ochotniczek oraz tryb zaciągu i powołania do służby przewidziane są w rozporządzeniu Ministra Obrony Narodowej z dnia 14 grudnia 1942 r. o zaciągu ochotniczym kobiet do pomocniczej służby wojskowej w Polskich Siłach Zbrojnych /Dz.U.R.P. Nr. 11./42, poz. 25/.

Ze względu na specjalne warunki szkolenia i pracy — od kandydatek do służby zdrowia Marynarki Wojennej wymagane jest:

wiek — nieprzekroczone 32 lata,

wykształcenie — co najmniej ukończenie gimnazjum /mała matura/ oraz podstawowa znajomość języka angielskiego.

Marynarka Wojenna zainicjuje kształcenie za pośrednictwem Polskiego Czerwonego Krzyża w szkołach fachowych na terenie Stanów Zjednoczonych Ameryki oraz Wielkiej Brytanii — na siostry służby zdrowia Marynarki Wojennej.

Kandydatki zobowiązują się — po ukończeniu szkoły pielęgniarskiej — do służby w charakterze sióstr Mar. Woj. na okres 5 lat w stopniach odpowiadających stopniom oficerów Pomocniczej Morskiej Służby Kobiet.

W okresie szkolenia fachowego ochotniczki są traktowane jak marynarze Pom. Morskiej Służby Kobiet.

Wszelkich bliższych informacji można zasięgnąć w Konsulatach R.P. lub Kierownictwie Marynarki Wojennej, 51, New Cavendish Street, London, W.1. Podania należy składać do Konsulatu R.P. /na terenie W. Brytanii do Konsulatu R.P. w Londynie — 63, Portland Place W.1/ zaś odpis podania wraz z życiorysem przesyłać do Kierownictwa Marynarki Wojennej.

Termin zgłoszeń: na terenie W. Brytanii do dnia 15 sierpnia 1944; poza Wielką Brytanią do dnia 1 września 1944.

Wieczór autorski

BEATY OBERTYŃSKIEJ

zapowiedziany na dzień 13 lipca 1944

odbędzie się w terminie późniejszym, który będzie podany osobno

WYDAJE BIURO OPIEKI NAD ŻOŁNIERZEM MIN. OBR. NAROD.
Adres Redakcji (Editorial Offices): 5, Portugal St., W.C.2. Tel., HOLborn 7600. I-e piętro.
Redaktor przyjmuje w poniedziałki i wtorki od 11-ej—13-ej.
Redakcja nie zwraca rękopisów niezakwalifikowanych do druku.

Warunki prenumeraty: Miesięcznie z przesyłką pocztową—sh.1. Kwartalnie z przesyłką pocztową—sh.3. Należność prosimy wpłacać przekazem pocztowym (Postal Order) pod adresem Administracji.
Ceny ogłoszeń: 1 cal przez jeden łam—sh.20. Zarezerwowane miejsce 50% drożej. Ogłoszenia o poszukiwaniu pracy—2sh. za wiersz.
Adres Administracji (Business Offices): 63, Lincoln's Inn Fields, W.C.2. Tel., Chancery 5505 i 5506.

Printed for "Polska Walcząca" by St. Clements Press, Ltd., Portugal St., Kingsway, W.C.2. Registered at the G.P.O. as a newspaper.